11957
B.P. im. Ł.
Z Księgozbioru Bolesława Prusa

1903.
LUTY.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY
Dodatek popularno-naukowy
(BEZPŁATNY).

Fakty i przypiski.

Szkice Herberta Spencera.

VI.

Gimnastyka.

Przed rokiem czy też dwoma laty, znalazłem w jednym z zeszytów miesięcznika „Harper's Magazine“ (nie pamiętam, niestety, w którym numerze), uwagi rzeczoznawcy w kwestyi gimnastyki, które utwierdziły mnie w niekorzystnem pojęciu, jakie miałem zawsze o tym rodzaju ćwiczeń. Spostrzeżenia owe zawarte były w szkicu Roberta Bookhama, noszącym tytuł: „Niehygieniczność gimnastyki“; w artykule swoim przytoczył autor następujące zdanie „dobrze znanego“ w New-Yorku nauczyciela sportów:

„Mogę powiedzieć bez najmniejszego wahania, że nasz system fizycznego wychowania młodzieży, przynajmniej system ogólnie uznany i przyjęty, nietylko jest zasadni-

czo zły, ale powoduje nawet upadek całego organizmu, skraca życie i wogóle więcej wyrządza szkody niż przynosi pożytku. Zajmowałem się tą kwestyą w ciągu kilku lat i oddawna już zwracał uwagę moją fakt, że tak zwani atleci umierają zazwyczaj młodo—zaś mając lat 45—50 bez porównania są słabsi od tych, którzy zupełnie zaniedbywali fizyczny swój rozwój—a nawet nie oddawali się żadnym ćwiczeniom cielesnym. Jest to fakt nie ulegający kwestyi. Atleci umierają młodo. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie uważam żadnego rodzaju sportu za zdrowy i zasługujący na oddawanie mu się; wprost przeciwnie, uważam go za pożyteczny o tyle, o ile sprawia przyjemność i stanowi rozrywkę, nie zaś forsowną pracę. O ile jednak młody wasz atleta zacznie się trenować w wiosłowaniu, foot-ball'u lub czemś podobnem, przekraczając już miarę, jest to tak samo złem, jak wszelki nadmiar: zarówno w pracy fizycznej, jak umysłowej i wogóle we wszystkiem. Trenowanie się takie powoduje upadek sił, rozstrój nerwowy, osłabienie serca lub inną jaką chorobę, nie dającą się już usunąć do końca życia. Rzeczą najnieodzowniejszą dla człowieka współczesnego nie są ćwiczenia atletyczne w salach gimnastycznych, ale wciąż nowy zapas świeżego powietrza dla płuc. Zamiast nadmiernej ilości zbyt trudnych ćwiczeń, potrzebną mu jest nauka prawidłowego oddychania, stania i siedzenia".

Tak bardzo rozpowszechniona, prawie ogólna wiara w niezbędność gimnastyki, rodzi nadzwyczaj ważne błędy. Pierwszy, o którym wspomnę na tem miejscu—to utożsamianie pojęć: siły mięśniowej i siły ustrojowej. Ogólnie przyjętym jest pogląd, że ten, kto potrafi podnosić wielkie ciężary, skakać z wszelkiej wysokości lub przebiegać wielkie przestrzenie, potrafi dzięki takim zdolnościom, oprzeć

się wszelkim próbom życiowym: wykonywać trudne i ciężkie prace, znosić najbardziej niesprzyjające warunki i tym podobne. Jest to jednak mniemanie mylne. Opisując pewne plemię, powiada Darwin, że składa się ono prawie z samych karłów, mało podobnych do ludzkich stworzeń, pomimo to jednak istoty te mogły bezkarnie znosić nawet śnieg, padający na gołe ich ciała i tający na nich. Takie fatalne dla Europejczyka wytrącenie organizmu z równowagi, wcale nie wpływało ujemnie na ich zdrowie. Podobne zjawisko daje się też spostrzegać w świecie zwierzęcym. Hodowcy bydła przekonali się, że słabiej rozwinięte rasy francuzkie są wytrzymalsze od lepiej rozwiniętych angielskich. Rozwój mięśni i przejawy większej siły mechanicznej nie mogą być miarą sił w takiem pojęciu tego wyrazu, jak bywa on zazwyczaj brany w stosunku do ludzi. Siła i rozwój członków, będące wynikiem codziennego ruchu, zaczynając od lat dziecinnych — dajmy na to, chociażby zdolność do odbywania już we wczesnej młodości codziennych spacerów 40-milowych (mówię z własnego doświadczenia)—jest zupełnie wystarczającem przygotowaniem zarówno do wypadków życia zwykłego, jakoteż i do przygód nadzwyczajnych.

Błąd nie tkwi jedynie w przypuszczeniu, że rozwój siły mięśniowej i siły ogólnej zawsze idą w parze, ale także i w tem, że stosunek odwrotny nie może mieć miejsca. Powszechnie sądzą — co znów stanowi błąd — że jeśli siła ogólna nie powiększa się, to w każdym razie nie zmniejsza się. Istnieją oczywiste przyczyny fizyologiczne tych smutnych wyników, o jakich mówi autor powyżej zacytowanego ustępu. Sąd ogółu nie bierze pod uwagę możliwości strat. Panuje mniemanie, że pewna grupa mięśni może być silnie rozwijaną bez ujemnego wpływu na cały

system mięśniowy. Licząc się jednak z faktem, że czynność narządów trawienia jest ograniczona i że krew, dostarczana przez nie, służyć musi dla rozmaitych celów— zrozumiemy, iż nie wolno nadmiernie rozwijać pewnych zewnętrznych części organizmu, bez wywierania jednocześnie wpływu na uzupełnienia, niezbędne do podtrzymania i rozwoju innych zewnętrznych organów oraz tych organów wewnętrznych, które podtrzymują życie i że nienormalne siły, nabywane dzięki gimnastyce, zdobywane są kosztem krzywdy, wyrządzanej ustrojowi.

Dodać tu należy jeszcze ten wielki błąd, że zazwyczaj mało bywa branem pod uwagę, czy to lub owo ćwiczenie sprawia przyjemność, czy nie? Powszechnem jest mniemanie, że na dobroczynny skutek pewnej sumy ćwiczeń mięśniowych, nie wpływa bynajmniej okoliczność, czy ćwiczenia te są przyjemne, czy obojętne, czy też nawet przykre z powodu zbyt wielkiego wysiłku, jaki im towarzyszy. I znów stwierdzić musimy błąd fizyologiczny. Każdy, komu nie obcą jest medycyna, widzi codzienne dowody faktu, że stan przyjemnego samopoczucia niezmiernie pomaga szczęśliwemu zwalczaniu wszelkich chorób i niema prawie rodziny, której członkowie nie mieliby w życiu swojem okazyi stwierdzenia prawdy tego zdania. Ci sami jednak ludzie nie chcą uznać, że jeśli przyjemne samopoczucie pożyteczne jest dla chorego, to jest ono również pożyteczne dla zdrowego. Na organizmie zdrowym skutki nie są tak wyraźne, istnienie ich nie ulega jednakże kwestyi. Jeśli stwierdzono, że spacer w miejscowości malowniczej korzystniejszy jest dla zdrowia, niż chodzenie tam i napowrót—przy robieniu tej samej ilości kroków— po pokoju, to tak samo nie ulega wątpliwości, że ruch mięśniowy podczas wesołej zabawy, więcej daje sił i jędr-

ności, aniżeli ta sama ilość pracy mięśniowej, dokonanej w murach sali gimnastycznej.

Wszystkie te błędy są powodem opacznych sądów, jakie panują ogólnie w tej kwestyi w umysłach pedagogów. Wszelka kultura musi mieć podług nich charakter lekcyi. W pojęciu wielu ludzi kształcenie i rozrywka wzajemnie się wykluczają. Przykry wysiłek uważany jest za nieodłącznego towarzysza umysłowego rozwoju; to samo dotyczy też rozwoju fizycznego: zdobywać się on winien dzięki przykrym wysiłkom mięśniowym, z jakiemi związana jest gimnastyka. Nadto, spostrzegamy rozpowszechnioną wszędzie wiarę w niezbędność przymusu. Obecnie osłabł nieco zapał nauczycieli w tym kierunku, dominującą jednak rolę odgrywa wciąż jeszcze w umyśle ucznia konieczność spełniania woli wykładającego, mniejszą zaś pragnienie zdobycia wiadomości i rozwoju duchowego. O ile nawet w wychowaniu fizycznem, noszącem nazwę gimnastyki, władza naczelna nauczyciela nie jest tak wyraźną (z wyjątkiem szkół niemieckich) i tutaj jednakże utrzymało się pojęcie o konieczności spełniania pewnych żądań, oraz poddania się pewnemu rygorowi danego systemu.

Zarówno dla narodów barbarzyńskich jak i tych, które wcześnie się ucywilizowały, wojna była wstępem do rozwoju gimnastyki. Teorya i praktyka ćwiczeń gimnastycznych po dziś dzień jeszcze są nierozłączne z militarnym typem społeczeństwa; najlepszym tego dowodem stan obecny państwa Niemieckiego. Umiejętność znoszenia nadmiernych wysiłków i gardzenie przyjemnemi stronami życia, jest wyraźną cechą takiego ustroju społecznego, w którym siła mięśniowa uważaną jest za cenny bardzo nabytek a dyscyplina fizyczna, doprowadzona do granic, powodujących wczesny upadek całego organizmu, cieszy się naj-

większem politycznem uznaniem. W miarę zbliżania się do bardziej pokojowego typu społeczeństwa, słabnie dążenie do uważania silnie rozwiniętych mięśni za główną zaletę jednostki—a zarazem łagodnieje surowy system wychowawczy. Sztuczne środki fizycznego rozwoju powoli zaczynają ustępować miejsca środkom naturalnym, czyli zabawom, grom towarzyskim i ćwiczeniom dowolnym.

VII.

Sztuka barbarzyńska.

Pomiędzy wzorami sztuki barbarzyńskiej i typami barbarzyńskiego społeczeństwa naturalny zachodzi związek. Despotyzm jest podstawą obu.

Jednym z przejawów despotyzmu jest dążenie do ujarzmienia tłumu za pomocą wszelkich zewnętrznych oznak władzy, jednym zaś z objawów tego dążenia jest bogaty i niezmiernie ozdobny styl sztuki, styl, z którym łączy się pojęcie nadzwyczajnej drogocenności i olbrzymiego nakładu pracy, świadczących o nieograniczonej władzy nad ludźmi. Spotykamy to na ozdobach staro-egipskich grobowców i świątyń, upstrzonych wewnątrz freskami a na zewnątrz wyłożonych rzeźbami, przedstawiającemi obrazy zwycięztw; podobne cechy mają też zabytki cywilizacyi asyryjskiej.

Powszechnem było dążenie do największego bogactwa ozdób i wskutek tego drogocenność stała się nieodłączną towarzyszką sztuki *). Dopiero wraz z zanikiem ustroju

*) Właśnie w tej porze, kiedy oddawałem pracę moją do druku, przeczytałem nadzwyczaj ciekawą notatkę, po-

militarnego i odpowiedniem wzrastaniu ustroju przemysłowego, powoli zaczyna wyłaniać się owa względna prostota, cechująca prawdziwą sztukę. Typowo ilustruje zwrot ten pierwszeństwo, okazywane przez pokolenie współczesne rzeźbie jednobarwnej—w przeciwstawieniu do rzeźby różnokolorowej lub do kolorowanych robót woskowych, w jakie tak obfitują wieki średnie i starożytne.

W obecnej dobie powszechnego powrotu do czasów barbarzyńskich, zauważyć się daje ciekawa zmiana gustów w stosunku do tych typów sztuki, jakie panowały wszechwładnie w epoce rządów despotycznych.

Zwrot ten cechuje nasze artystyczne wydawnictwa peryodyczne. Mnóstwo też rycin, jakie w nich znajdujemy, zdradza wyraźny zwrot od dążenia ku pięknu do umiłowania brzydoty, uważne jednak przyjrzenie się ilustracyom tym, przekona nas, że zazwyczaj owa brzydota polega na powrocie do sztuki średniowiecznej. Widzimy tu wykonane przez tego lub innego artystę rysunki domów chłopskich lub okazów architektoniki prowincyonalnej, których cała zaleta polega na tem, że przypominają budowle minionych stuleci. Gdzieindziej znów odtworzone jest wewnętrzne urządzenie pokojów, których meble zupełnie są niewygodne, ale za to mają charakter archaiczny, raczej czysto barbarzyński. W większości wypadków piękno i wytworność skazane są na stałą banicyę.

---

mieszczoną w „Timesie“ 7 marca 1902 roku, gdzie korespondent z Japonii pisze, iż Mikado ofiarował królowi Edwardowi VII z powodu jego koronacyi, dwa srebrne, złotem inkrustowane wazony, 15 cali wysokości i że wazony te są dziełem 7-letniej pracy trzydziestu najwybitniejszych japońskich artystów.

Podobnie wsteczny gust cechuje inne jeszcze wydawnictwa peryodyczne. Niezależnie od ozdób archaicznych, widzimy w nagłówkach pismo szczególnego stylu, które tem różni się od stylu pisma, będącego w użyciu w ubiegłem stuleciu, że litery jego umyślnie są wykoszlawione, nierównej wielkości w jednym i tym samym wyrazie, słowem przypominające niezdarne rysunki dzieci lub plemion dzikich. Pozatem tytuły książek umieszczane są często gdzieś na samej górze stronnicy lub w samym jej rogu— co stanowi zupełne lekceważenie symetryi, bynajmniej jednak nie cechujące dążenia do wytworności, ale zależne tylko od absolutnego nieliczenia się z wymaganiami proporcyonalności stosunków wzajemnych. To skażenie smaku jest wynikiem braku poczucia harmonii, jakiej wymaga geometryczny kształt książki. Zwrócić należy też jeszcze uwagę na powrót do pisma XVIII w., co nadaje mnóstwu wydawanych obecnie u nas dzieł cechę wydawnictw z czasów Johnsona. Dowodem takiego powrotu do umiłowania form archaicznych jest słynna drukarnia Williama Morrisa, który wzorował się na romańskich a po części gotyckich literach XV wieku i który tłómaczył się z tego w sposób następujący: „Od reguły tej nie odstępowano nigdy w księgach średniowiecznych zarówno drukowanych, jak pisanych“.

Dla uzupełnienia obrazu zwrotu do czasów barbarzyńskich, należy dodać jeszcze, że zwrot ten uwydatnił się także w fabrykacyi papieru, o czem specyalnie zawiadamiają wydawcy, jakgdyby to była jakaś rzecz nadzwyczajna. Ostatnią w tym dziale nowością jest papier z poszarpanemi brzegami; jest to moda brzydka i niesłychanie niewygodna przy odwracaniu kartek a jednakże uważana przez wydawców za szczyt wykwintu, ponieważ licuje naj-

zupełniej ze stylem, cechującym zwrot do czasów barbarzyńskich.

To jednak jeszcze nie wszystko. Dowiedziałem się od jednego z fabrykantów papieru, że niektórzy wydawcy przecinają tępym nożem gładkie brzegi papieru w miejscach, gdzie są złożone arkusze, aby wytworzyć w ten sposób naturalne nierówności.

VIII.

Skażenie historyi.

Pewien król, zdaje się francuzki, mawiał zazwyczaj do swojego bibliotekarza za każdym razem, gdy chciał sprawdzić jakiś fakt historyczny: „Proszę, daj mi pan mojego łgarza“. Określenie okropne, ale niezupełnie niezasłużone. Im bliżej przypatrujemy się sprawom, zachodzącym w otaczającym nas świecie i widzimy, jakie tworzą sobie o nich pojęcie ludzie, należący do rozmaitych warstw społecznych; tembardziej zdumiewa nas trudność a często nawet niemożliwość dotarcia do właściwej istoty rzeczy. Mówię o tem z powodu pewnego niezmiernie doniosłego skażenia historyi, znanego nielicznemu gronu osób. Jestem w stanie dowieść w sposób jaknajpozytywniejszy tego skażenia, które zostało wcielone do wszystkich następnych opisów stosunku Anglii do Stanów Zjednoczonych.

W początkach 1869 roku nieprzyjazne stosunki obu państw, wywołane przez wojnę, która je rozdzieliła, szczególnie się przez pewien czas zaogniły. Z samego zaraz początku brano nam za złe, że nie sympatyzowaliśmy z Pół-

nocnemi Stanami w ich wojnie z Południowemi—przeciwko niewolnictwu; wysnuto wniosek taki, że warunki nasze, jako odbiorców bawełny, każą nam skłaniać się na stronę południa i że stawanie po jego stronie jest dla nas skutkiem tego koniecznością; wychodząc z takiego założenia, mówcy i dziennikarze współzawodniczyli z sobą w obrzucaniu nas zarzutami.

Nie jestem bynajmniej ślepym adoratorem Anglii oraz jej sposobu postępowania, o czem czytelnik niejednokrotnie miał możność się przekonać, jednakże byłem oburzony, że pomimo sympatyi, jaką Anglia okazywała z początku Stanom Północnym, sympatyi jednomyślnej i wyjątkowej, zdumiewającej z punktu widzenia kwestyi politycznej, obrzucano ją gradem zarzutów, które byłyby zupełnie zasłużone w takim tylko razie, gdyby postępowanie jej było wprost przeciwne. Jednym z wyników takiego stanu rzeczy było to, że kiedy w 1869 r. polityczny widnokrąg Zachodu bardzo był zachmurzony, powziąłem zamiar przekonania Stanów Północnych, jak dalece nie miały one racyi, przypuszczając, że ze strony Anglii od samego początku istniał ten nieprzyjazny względem nich stosunek, który jakoby ujawnić mieliśmy dopiero w następstwie.

Posłałem mojego sekretarza do British Museum, poleciwszy mu, aby przejrzał wszystko, co wydrukowano w codziennych i tygodniowych organach prasy angielskiej, bezpośrednio przed rozpoczęciem wojny i podczas jej ogłoszenia. Pamięć mnie nie zawiodła. Wypisy z gazet dowiodły, że wszystkie nasze organy najrozmaitszych obozów i frakcyj—torysów, wigów i klerykałów—jednogłośnie i bardzo ostro potępiały zachowanie się Stanów Południowych. Świadczą o tem artykuły, pomieszczone: w „Timesie“ 5

i 11 grudnia 1860 r. oraz 4 stycznia 1861 r., w „Daily News“ 2 stycznia 1861, w „Morning Herald“ 27 grudnia 1860, w „Morning Post“ 5 grudnia 1860, w „Daily Telegraph“ 3 grudnia 1860, w „Morning Star“ 27 listopada 1860, w „Express“ 20 listopada 1860, w „The Sem“ 9 listopada 1860, w „Standard“ 24 listopada 1860, w „Spectator“ 1 grudnia i w „Saturday Review“ 29 grudnia.

Jeszcze gwałtowniejsze napaści zawierały pisma po ogłoszeniu wojny. Dowodem tego artykuły: w „Timesie“ 18 i 19 stycznia 1861 r., w „Daily News“ 21 st., w „Morn. Post“ 9 i 12 st., w „Morn. Herald“ 28 st., w „Morn. Star„ 15 st., w „The Sem“ 19 st., w „The Globe“ 14 i 18 st., w „The Standard“ 5 i 26 st. i w „The Saturday Review“ 12 st. i 2 lutego. Nie znaleziono natomiast ani jednego objawu sympatyi dla Południa. Później już dowiedziałem się, że miesięcznik pewien „The Blackwood's Magazine“ zamieścił artykuł w duchu przeciwnym, za co ściągnął na siebie powszechne niezadowolenie.

Powyższe wycinki posłałem w liście przyjacielowi mojemu, prof. Humans'owi, prosząc go, aby je wydrukował w nowojorskiej „Tribune“. Miałem nadzieję usposobić lepiej nieprzyjaznych względem nas Amerykanów. List był złożony w drukarni „Tribune“ i przyjaciel mój przysłał mi odbitkę, prosząc o odebranie listu. Pisał, że ludzie mi życzliwi, którzy czytali list, jednogłośnie wyrazili przekonanie, że nie wywoła on skutku pożądanego a nawet może wyrządzić szkodę, niepotrzebnie krępując ich stosunek do mnie. Jakkolwiek wszelka krzywda, dotycząca własnej mojej osoby, była dla mnie rzeczą zupełnie obojętną, jednakże argument, że wydrukowanie go nie przyniesie nikomu pożytku, skłonił mnie do ustąpienia — i list nie został wydrukowany. W kilka lat później, kiedy stosunki mniej

były już naprężone, londyński korespondent „Tribune“, któremu opowiedziałem całą tę historyę, prosił mnie o pozwolenie ogłoszenia listu. Zgodziłem się na jego propozycyę i list został wydrukowany. Poprzedzał go wstęp, wyjaśniający te oczywiste fakty, o których była w nim mowa; ciekawy byłem, czy wywoła on efekt, ale próba nie udała się. Nie udaje się wpłynąć na zmianę uformowanych już przekonań.

Powody, dla których przytaczam cały ten fakt, nader są liczne. Jednym z nich jest ta okoliczność, że jakkolwiek „autobiografia“ moja zawiera zacytowany powyżej list, posłany do redakcyi „Tribune“, niewielu jednak czytelników zagląda do przypisków, mało więc mógłbym mieć nadziei wyjaśnienia prawdy w niej zawartej. Dlatego też postanowiłem przytoczyć na tem miejscu okoliczności, w jakich list został napisany oraz wymienić tytuły pism, z których wynotowałem powyższe wypiski.

Cóż wobec tego myśleć mamy o stanie historyi w szerokiem pojęciu? Kiedy dwanaście wybitnych gazet angielskich, będących przedstawicielkami wszystkich frakcyj, jednoczy się w ogólnym chórze potępienia, kiedy niema ani jednego pisma, które nie przyłączyłoby się do tego chóru napaści na Stany Południowe, zdawałoby się, że jest to wyraźnym dowodem sympatyi dla Północy; tymczasem Stany Północne, pomimo tych oczywistych dowodów, zarzuciły nam sprzyjanie Stanom Południowym. Jeśli takie skażenie historyi było rzeczą możliwą w naszych czasach, kiedy prasa oraz ułatwiona komunikacya uprzystępniają najszerszemu ogółowi nabywanie wiadomości, cóż dopiero mówić o przeszłości, kiedy trudniej było o sposoby uświadamiania a nienawiść była gorętszą? Po za sprawozdaniami z panowania królów, z bitew oraz z rozmaitych wypad-

ków, omawianych przez kronikarzy wszystkich narodów, nie możemy niczemu wierzyć. Pozostają jeszcze traktaty, spisywane po to, aby było co obalać, komunikaty nieuczciwych i kłamliwych urzędników, pełne intryg listy dworaków, i t. p. W jaki sposób wyłowić prawdę z całego tego materyału? Sądząc z przytoczonego powyżej poszczególnego przypadku, w którym poważne nieporozumienie pomiędzy dwoma państwami było wynikiem zupełnego skażenia prawdy, musimy powiedzieć, że z całej tej masy namiętności, przesądów i zabobonów, jakiemi kierowali się ludzie dowcipniejsi, nie można wysnuć żadnych pozytywnych wniosków.

Rzeczy, których możemy być bezwzględnie pewni, są na szczęście jedynemi, jakie zasługują na to, aby je znać. Ze wszystkich tych zapisek, depesz, listów, i t. p., zarówno jak ze wszelkich praw obowiązujących jeszcze oraz tych, które moc swą już utraciły, wyłaniają się liczne fakty, nie zaznaczane przez nikogo; fakty, dotyczące społecznego ustroju, warstw socyalnych, obyczajów, urządzeń, zmian; dane statystyczne, ważne dla socyologów, których historya, w jej zwykłem znaczeniu, zwyczajną jest tylko służebnicą.

IX.

Psucie muzyki.

Wykonawcy i nauczyciele muzyki często ją psują. Większość ludzi uważać będzie to zdanie za bezsensowny paradoks; postaram się jednak dowieść słuszności mojego twierdzenia.

Nie szukając argumentów w czasach dawnych, kiedy zdarzało się, że primadonny zmuszały kompozytorów do wstawiania rozmaitych trylów i pasażów, uwydatniających koloraturę ich głosu, ograniczę się li tylko na dobie obecnej. Dowody znajdą się na każdym kroku. Oto np. ustęp ze sprawozdania muzycznego, którego autor, zwracając uwagę, że wykonana sonata nie odznacza się żadnemi zaletami, powiada:

„Łatwo zrozumieć, dlaczego utwór ten pociąga pierwszorzędnych pianistów: jest on najeżony trudnościami, niełatwemi do pokonania". A dalej: „Sposób śpiewania pani N. nie jest wcale bez zarzutu, ponieważ wyrzuca ona jednak z krtani nuty niedościgle wysokie, publiczność zupełnie jest z niej zadowolona".

W swojej przemowie do aktorów, Hamlet potępia tych, co „w gałgany obracają uczucie, prawdziwy z niego łach robią, by zadowolnić uszy narodu, który po największej części kocha się tylko w niezrozumiałych gestach i wrzawie".

Zmieniając czas, miejsce i wyrazy, rzec można, że trzy czwarte słuchaczów znajdują się dzisiaj w tem samem położeniu wobec muzyki. Idee muzyczne i uczucia kompozytora oraz właściwe ich oddanie, mało ich obchodzą, za to niezwykłe sztuczki wirtuozowskie i koloraturowe, lub zdumiewająca gimnastyka palcowa wywołują burzę oklasków—a ponieważ oklaskują miejsca takie i prawdziwi też znawcy, rozumiejący, jakie trudności miał artysta do pokonania, publiczność widzi w tem potwierdzenie swojego sądu, że na tem właśnie polega prawdziwa muzyka i klaszcze także, aby nie zdradzić braku gustu. W ten sposób wykonawcy muzyki, dążący bardziej do wystawia-

nia na pokaz mistrzowstwa swojej gry, aniżeli do ścisłego oddania istoty utworu, psują zarówno muzykę, jak smak słuchaczów.

Między innemi, dwie fortepianistki żywą były dla mnie takiego stanu rzeczy ilustracyą: występując na estradzie, wybierały one zawsze utwory nie z uwzględnieniem ich piękna, ale strony technicznej, nadającej się do uwydatnienia świetnej, wirtuozowskiej gry; jedna z tych pań występowała pod pseudonimem: „Toccata“. Starsza z nich, nauczycielka muzyki, chciała pokazać rodzicom swoich uczniów, jaką jest świetną mistrzynią, skoro potrafi pokonywać podobne trudności.

Jak wyraźnie tego dowodzą powyższe przykłady, główny błąd polega na tem, że wykonawca zadużo myśli o własnej osobie, co zupełnie wyklucza możność interesowania się ideą kompozytora. Dominującem uczuciem nie jest umiłowanie oddawanego utworu, ale chęć odniesienia tryumfu, jaki zapewnia mistrzowskie wykonanie. Dla słynnych wykonawców, dokoła których gromadzą się tłumne zastępy słuchaczów, jest to rzeczą niezbędną.

Przed kilkoma laty, wracając z koncertu znakomitego rosyjskiego pianisty, zauważyłem: „Zbyt mało muzyki i zbyt wiele Rubinsztajna“.

To jednak nie wszystko; istnieje jeszcze jeden błąd bardzo rozpowszechniony. Główną cechą świetnego wykonania muzyki jest biegłość. Saltarello lub Tarantella są dość łatwe do odegrania w tempie powolnem. Sztuka polega na tem, aby grać takie utwory niezmiernie szybko i metrowie zmuszają swoich uczniów do zdobywania tego rodzaju biegłości. Starają się wciąż przyspieszać tempo wykonania, skracając do minimum czas na to potrzebny

Psuje to nietylko tak zwane „popisowe“, ale nawet zwykłe utwory. Zazwyczaj musiałem, słuchając takiego wykonania, powstrzymywać grających uwagą: „wolniej, wolniej, nie tak szybko“ — szalone bowiem tempo kaziło całą istotę utworu.

Streszczając się, powiem, że podobne psucie muzyki jest jednym z pośrednich wyników dążenia zawodowych wirtuozów nie do ściślejszego oddania myśli kompozytora, ale do takiego wykonania, które bardziej sprzyja ich własnej korzyści.

X.

Ubieganie się o piękno.

Ludzie często krytykują życie swoich bliźnich i w większości wypadków napaści krytykujących kierowane bywają na brak równowagi w życiu ich bliźnich: jednym mają za złe krańcowość w oddawaniu się pewnej idei, innym—uganianie się za zajęciem korzystnem, jeszcze innym—zupełne zatopienie się w ulubionym przedmiocie, i t. p. Pomimo to jednak, że sztuka życia uznaną jest za przedmiot, obchodzący każdego, nie istnieje wcale specyalne studyowanie tej sztuki: zamiast systematycznie wyprowadzanych wniosków, są tylko przypadkowe, oderwane myśli. Nikt nie usiłuje określić względnej wartości wyników, wyliczyć ilości energii, niezbędnej do zdobycia tych lub owych zadawalniających rezultatów. Wybór, dotyczący kwestyi, ile czasu i sił poświęcać należy wszelkiego rodzaju umysłowej i fizycznej działalności, a ile całokształtowi czynności życiowych — dokonywanym bywa zupełnie bez namysłu.

Wynikiem podobnego postępowania jest zazwyczaj mniejsze lub większe skoszlawienie, zniekształcenie życia większości ludzi, a często nawet zupełne jego złamanie.

Robię tę ogólną uwagę wstępną przed jedną uwagą poszczególną. Istnieje dążenie, uważane przez wszystkich prawie za nieskończenie rozciągłe: dążenie do piękna—a właściwie do ładnego wyglądu. Codzienne tracenie na to czasu, zwłaszcza przez kobiety, kazałoby przypuszczać, że jedyną troską ich życia jest dostarczanie rozkoszy oczom. Zaczynając od lady amerykańskiej, która zdaje się sądzić, że mężczyźni powinni pracować po to, aby kobiety mogły się ubierać i kończąc na angielskiej pomywaczce, której jedyną w ciągu całego tygodnia rozkoszą jest myśl o współzawodniczeniu w niedzielę ze swoją panią — dążeniem, które dominuje nad wszelkiemi innemi, jest chęć czynienia zadość potrzebom estetycznym a raczej, chęć wzbudzania zachwytu, nieodłącznego od tego pojęcia, albo też przynajmniej, o którem się mniema, że jest od tego pojęcia nieodłącznem. Aby wytłómaczyć moje zwrócenie uwagi na zjawiska tak powszechne, muszę zauważyć, że stanowią one podstawę zjawisk daleko donioślejszych. W chęci wzbudzenia zachwytu w osobnikach płci odmiennej, tkwi dążenie do zewnętrznego piękna — a nadto, w dalszym już ciągu bezwzględne pragnienie wzbudzania zachwytu. Szukać w tem należy przyczyny, dla której uczucia te wywierają wpływ na całe życie człowieka, na wszystkie jego postępki. Motywy, będące główną dźwignią takich ofiar, jak np. krępowanie nóg Chinek lub też ściąganie kibici europejskich ich sióstr, stanowią niewątpliwie główny składnik ich świadomości i muszą wpływać z konieczności na życie codzienne w taki lub inny sposób. Wobec podobne-

go stanu umysłu, kwestya: „jak to będzie wyglądało?“ — musi być naturalnie sprawą wagi pierwszorzędnej. Jeśli pragnienie wywołania zachwytu może zniewolić człowieka do wykręcania kości, to oczywiście cały sposób życia zmieniony będzie odpowiednio do wytkniętego celu. Wygląd zewnętrzny będzie zawsze główną troską a pożytek i wygoda—względem drugorzędnym; podobnie jak u dzikich, którzy podczas pięknej pogody tulą się w płaszcze, zdejmują je zaś podczas deszczu.

Jak już powiedziałem wyżej, należy zwrócić uwagę nie na te najbliższe, ale na dalsze wyniki. Co do mnie, to liczę się nietylko z takim wynikiem, jakim jest szkoda, wyrządzona zdrowiu, skutkiem tego, że przy wyborze odzieży uwzględnianą bywa bardziej kwestya etyki niż ciepła i że w ciągu jednej połowy dnia odzież ta otula szczelnie ciało a w ciągu drugiej zostawia obnażonemi szyję, plecy, piersi i ramiona—ale biorę pod uwagę wpływ, jaki wywiera na cały dom i na cały bieg spraw domowych, to dominujące dążenie do popisywania się. Mieszkanka domku wiejskiego, którego maleńkie okienka tak są zastawione kwiatami, że nie przepuszczają światła, nie rozumie krzywdy, jaką sobie i swoim wyrządza; ale światowa nawet dama, której mówić będziemy, iż słońce i światło są niezbędnymi czynnikami utrzymania zdrowia, tak dalece niezbędnymi, że chorzy, umieszczeni w południowej stronie szpitala, szybciej zdrowieją niż w północnej i że siedzenie w ciemnym pokoju jest rzeczą szkodliwą — okaże się równie mało zdolną do usłuchania głosu rozsądku. Ważniejszą jest dla niej rzeczą płowienie delikatnych barw dywanu, aniżeli utrzymanie zdrowia rodziny. Pojęcie jej, że dobrze wywoskowana podłoga jest piękna, nie może być zachwiane przez prosty argument, iż ślizkość podłogi bywa często

przyczyną katastrof: złamań, stłuczeń, zwichnięć — a chociażby przyczyną ciągłej obawy i pamiętania o ostrożnem stąpaniu. To samo tyczy się i mebli. Przy wyborze ich nietyle wchodzi w grę ich wygoda, ile estetyczny wygląd zewnętrzny. Oto w niszy gotyckiego okna stoi fotel z rzeźbą, odtwarzającą haut-relief kwiatów; dokoła fotela krzesła: jedno modne, inne formy archaicznej, jeszcze inne z pięknemi rzeźbionemi poręczami, ale prawie wszystkie niewygodne do siedzenia, krzesła niegościnne, jeśli można je tak określić.

Nie inaczej dzieje się z mnóstwem ładnych drobiazgów, albo przynajmniej uważanych za ładne, pod których ciężarem uginają się stoły; z drobnemi mebelkami, wszelkiemi półeczkami i różnemi bagatelami, aż do takich bezsensownych pomysłów, jak np. noże do przecinania kartek z rękojeściami, ozdobionemi wypukłorzeźbą. Przyjemność, jaką drobiazgi te dają zarówno ich właścicielowi, jak i gościom jego, w rzeczywistości bardzo jest nieznaczna; po za świadomością, że wszędzie rozrzuconych jest dużo ładnych cacek, nie dają one nic innego. Po za kwestyą ich pierwotnej wartości, są one na ogół biorąc, nieustannem źródłem zmartwień. Niestaranność nieuważnej służby psuje humor, co stanowi wystarczającą przeciwwagę drobnych przyjemności, jakie zapewnia posiadanie tych rzeczy. Powtarzając słowa Bacona, rzec można, że nietylko ten, kto się żeni, daje losowi broń przeciwko sobie, ale i ten, kto gromadzi cenne przedmioty, ponieważ daje w ten sposób losowi tylko okazyę wywierania swojej złości.

Zbyt gorliwe dążenie do osiągania uciech estetycznych mija się ostatecznie ze swoim celem. Przepełnianiem pokojów pięknemi drobiazgami nie stwarza się piękna. Na ogólne wrażenie jakie czyni taki przepełniony pokój, działa

ujemnie moc odciągających uwagę szczegółów. Możesz mieć artystyczne urządzenie, albo muzeum, ale nie możesz mieć jednego i drugiego jednocześnie. Zwykły błąd zarówno artystów-amatorów, jak i zawodowych artystów w najszerszem pojęciu, polega na tem, że zbyt gorliwie usiłują oni wzbudzić zachwyt swojemi pracami. Po za tem, te pochłaniające całą istotę ludzką dążenia do celów estetycznych, dają jeszcze jeden ujemny wynik: zbyt wyraźną chęć zyskania poklasku co osłabia szacunek względem osoby, która chęć tę zdradza; w większości zaś wypadków jest rzeczą aż nadto oczywistą, że pragnienie to jest pobudką dominującą. Nadmiernie ozdobione pokoje są zjawiskiem jeszcze częstszem, niż zanadto wystrojone kobiety.

Wracając do pierwotnego mojego założenia, dodać muszę, że jeszcze jednym dowodem faktu, do jakiego stopnia dążenie do wykwintu przeważa nad wszelkiemi innemi dążeniami, jest nasze odżywianie. Zaczyna się od wyboru kucharki, której zalety nie bywają mierzone miarą jej ogólnych zdolności kulinarnych, ale umiejętnością przyrządzania potraw eleganckich; następnie idzie upodobanie takie, jak staranie się o zachowanie naturalnego zielonego koloru jarzyn i podawanie ich w tym celu w stanie napół surowym (cytuję fakt); wogóle strawność i smak potraw poświęcane bywają w imię pospolitej i chwilowej ozdobności wyglądu.

Dość jednakże dowodzenia na ten temat. Ogólna zasada, że nie istnieje prawidłowy stosunek wzajemny rozmaitych dążeń życiowych, wyjaśnioną przezemnie została drogą rozpatrzenia tezy poszczególnej, polegającej na tem, że dążenia estetyczne zajmują zbyt wielki obszar świadomości.

W każdym razie, ludzie mogą gromadzić dokoła siebie

niewielką ilość ładnych przedmiotów, na których mogłoby codziennie spocząć z przyjemnością ich oko, ale niech nie koszlawią życia odciąganiem uwagi od głównych jego zadań. Widzimy przecież rodziców, których obowiązkiem jest wychowywanie swoich dzieci, zgodne z wymaganiami życia a którzy, kierując się staremi zwyczajami lub nawet z niczem się nie licząc, ani razu nie pomyśleli o właściwem zadaniu wychowania. Gdzieindziej znów ludzie, powołani do przyjmowania udziału w sprawach społecznych i dawania swojej w tej mierze opinii, do dzisiejszego dnia jeszcze kierują się najpospolitszemi przesądami lub wykręcają się sofizmatami a dążenie do godnego spełniania obowiązków obywatelskich, nader rzadką jest cnotą. Wszędzie widzimy dokoła siebie ludzi, zupełnie nie znających otaczającego ich świata, żywego czy martwego—a przecież rozumienie zasadniczych praw tego świata, w jednakowo ścisłym pozostaje związku z odpowiednim i właściwym trybem życia i z całą ludzką egzystencyą. Nieskończona jednak masa drobnych trosk i myśli, poświęcaną bywa codziennie dla mnóstwa rzeczy, które wedle ogólnego mniemania, powinny budzić zachwyt, tymczasem często bardzo zarówno nasza odzież, jakoteż i mnóstwo, zdobiących nasze mieszkanie sprzętów i gracików, osiągają wprost przeciwny skutek. r. c.

Problemat rasowy
w gospodarstwie wszechświatowem

podług

Prof. dra JULIUSZA WOLFA.

II.

Jeśli badacz stosunków rasowych obejrzy się wstecz pięciotysiącznego okresu historycznego ludzkości, za jaki mamy historyę pisaną — co jest krótką chwilą w porównaniu z faktem, że wiek rodzaju ludzkiego już w Europie określony (Penk) na 200,000 lat, — to czyż wyda mu się rzeczą bardzo małej wagi i nie godną wcale podziwu ta zmienność utalentowania narodów pod względem politycznym i gospodarczym, które przenosiło się od jednego narodu i od jednej grupy narodów do drugiej. Mamy jeden okres historyczny, w którym panowali Semici, — był to pierwszy. Po nim nastąpił drugi okres, na którym odcisnęli swój znak duchowy Grecy a swój znak polityczny militarne państwo Rzymskie, — jest to starożytny okres greko-rzymski. Z nim łączy się inny, kiedy przewodnictwo duchowe i polityczne objęły t. zw. narody romańskie: Włosi, Hiszpanie, Francuzi. Wreszcie mamy obecny okres, który należy do narodów germańskich w bardziej wyłącznym stopniu, niż poprzednie: do Holendrów, Brytów, Niemców i Amerykanów Północnych. Kraje z nad Eufratu

i Tigru nie okazują dzisiaj ani znaku wszechświatowej kultury, jakiej pionierami były niegdyś; o współczesnej Helladzie i jej stanowisku w szeregu narodów, o domniemanych wnukach Platona i Arystotelesa, Homera i Sofoklesa, daleko więcej mówi doroczne święto Korynckie, niż jakikolwiek inny moment historyczny; podobnież Włochy, Hiszpania, Francya—utraciły lub tracą przodującą rolę, jaką grały niegdyś.

Wobec tych faktów etnolog musi zadać sobie pytanie, czy teraz, w naszych czasach nie odbywa się „wędrówka“ fatalistycznego utalentowania od narodu do narodu, od rasy do rasy! Pozornie bieg historyi nie udowodnia, aby rasa była czynnikiem rozstrzygającym, ponieważ historya oddaje palmę pierwszeństwa raz tej rasie, raz tamtej mieszaninie narodowej. Do problematu, w ten sposób sformułowanego, wracamy z wyjaśnieniem, że narody z biegiem czasu zmieniały typ rasowy. Assyrya i Babilonia stały się po części pustynią i odcisnęły na mieszkańcach tych krajów, pół-mongołach, inne choć wyraźne swe ślady. „Grek“ z dawien dawna nie jest „Helleńczykiem“, ale słowianinem i po części mongoloidem. Ale zostają przecież jeszcze Włosi, Hiszpanie! Ci pod względem krwi od czasu swego najwyższego rozkwitu istotnie się nie zmienili, ale pod względem darów duchowych, pod względem charakteru stali się innymi. Czyżby dla tego należało obalić teoryę rasową? Zapewne nie. Mamy tu oczywiście do czynienia z pewnymi objawami zwyrodnienia albo wyczerpania, które możemy obserwować również w świecie zwierzęcym i roślinnym, jako z objawami pewnego lekkiego cofnięcia się kiedy gatunek do najwyższego czynu powołany i uzdolniony został.

Dzisiaj świat należy do Germanów. Czy do nich na-

leżeć będzie w dalekiej przyszłości, twierdzić trudno, aczkolwiek posiadają oni coś, gwarantującego im przyszłość: połączenie w najwyższych stopniu sił fizycznych z duchowemi. Który jednak z krajów germańskich osiągnie najpomyślniejsze rezultaty? Wielka Brytania cofnęła się nieco wstecz, już Niemcy wydają się jej stosunkowo szczęśliwszym rywalem, ale samym Niemcom a równocześnie całemu ogółowi narodów przemysłowych zagraża obecnie Ameryka Północna. Przyjrzyjmy się przeciętnym podstawom rasowym walki, jaka się prowadzi.

Anglia zdobyła swoje wszechświatowe stanowisko na morzu, w walce z Holandyą; zawdzięcza je, podobnież jak swą handlową i przemysłową przewagę w pierwszym rzędzie pewnym osobistym właściwościom rasowym. W jaki sposób rasa anglo-saska stała się tem, czem jest obecnie, nie umie powiedzieć tego, nawet sam Macauley, największy historyk, jakiego wydała Anglia. „Wcale nie można — mówi on — oznaczać chwili, kiedy w Anglii znikła różnica pomiędzy Normandami i Sasami, pomiędzy panami i niewolnikami“. Wstręt — twierdzi dalej — podobny do tego, z jakim Sasi i Normandowie początkowo odnosili się nawzajem do siebie, zdarza się rzadko u narodów w innych krajach: „w żadnym kraju nienawiść rasowa nie wznosiła się do wyższego stopnia, niż w Anglii i w żadnym bardziej nie znikła do szczętu. Za czasów Ryszarda I zwykłem przekleństwem normandskiego szlachcica było „obym został Anglikiem!“ i zwykłą formą niepohamowanego oburzenia: „Czyż pan mnie uważa za Anglika?“ W sto lat potem potomek każdego z takich panów był dummy, że nosi imię angielskie“. Dzięki przymieszce krwi obniżył się „naród panów“. Wstręt pomiędzy Sasami i Normandczykami był wielki, ponieważ pierwsi stanowili naród „uszlachconych

chłopów", drudzy naród rycerzy. Po oswojeniu się z sobą zaczęli się stosunkować do siebie z wzajemnym szacunkiem. Poszanowanie, jakie mieli dla przeciwnika, podniosło ich samych na wyższy jeszcze stopień piedestału przez zlanie się z nim. Jest to charakterystycznem, że patryota i ekonomista niemiecki, Fryderyk List, jeden z największych w Niemczech nienawistników Anglii, jest jednocześnie największym jej czcicielem. List nie życzył Niemcom nic lepszego, prócz stania się z biegiem czasu drugą Anglią. Ogólnie wiadomem jest, że Anglia pod względem gospodarczym zawojowała świat cały. Nawet dziś jeszcze, chociaż stoczyła się nieco z najwyższego szczytu, jaki przed kilkoma dziesiątkami lat zajmowała, w ogólnem na całej ziemi budownictwie okrętów jej udział wynosi $^3/_4$ ogólnej ilości, a Niemiec zaledwie $^1/_{12}$; w ogólnej liczbie wrzecion całego świata jej część wynosi prawie $^1/_2$, około 46 milionów, a Niemiec $8^1/_2$ milionów.

Anglik jest realistą i indywidualistą. Dla tego i socyalizm nie grał nigdy roli na wyspie brytańskiej. Jest on realistą nawet we wszelkich tego rodzaju kwestyach, jakie w żadnym innym kraju nie omawiane były bez odwołania się do „ideałów". W „Petition of rights" parlament tak odpowiedział Karolowi I: „Twoi poddani, władco, odziedziczyli tę wolność nie na zasadzie abstrakcyjnych założeń, nie na zasadzie „praw człowieka", ale domagają się jej jako praw Anglika, jako udziału w dziedzictwie swych ojców".

Wymienione powyżej właściwości rasowe wytworzyły w Anglii zdobywców kolonialnych, kupców królewskich. Dzisiaj są one na rynku międzynarodowym punktem słabości Anglii. Anglik o nieugiętym karku nie przystosuje

się w jednakowej mierze do poszczególnych życzeń swych odbiorców, jak naprz. Niemiec. Niedawno temu można było czytać w przeróżnych gazetach handlowych, jak przy pewnym obstalunku z Argentyny na siekiery, zachowali się względem siebie Anglik i Niemiec. Żądano siekier szczególnego kształtu i szczególnych wymiarów, pospolicie używanych w Argentynie. Anglik na odezwę odpowiedział podaniem oferty, że stale fabrykowane przez niego siekiery mają pierwszeństwo przed wymaganemi; Niemiec zaś odpowiedział prośbą o nieco cierpliwości, dopóki jego maszyny nie zostaną przystosowane do wyrobu siekier wymaganego kształtu i wymiaru, któreby zupełnie odpowiadały warunkom dostawcy. W ten sposób, w skutek mniejszej zdolności przystosowania się, wskutek przypisywania mniejszej wagi szczególnym, często małousprawiedliwionym życzeniom swych odbiorców, Anglia traci część kupujących, jaką dotychczas miała. Jest ona „pewną siebie“ i dlatego obojętną; z doświadczenia z dawien dawna wiadomo, że „niezadowolony jest pracowitszy i ruchliwszy, niż zadowolony, a łaknący skrzętniejszy, niż syty“.

Szybszem od wzbicia się Anglii na szczyty, na jakich do niedawna stała, jest wzniesienie się Niemiec, a jeszcze szybszem wzniesienie się Ameryki Północnej. Najbardziej godnem podziwu jest wzbicie się Niemiec z tego względu, że jest ono pozornie następstwem cofnięcia się, a nie wypływu właściwości narodowych. Dziś, kiedy stosunki uległy tak gruntownej zmianie, uwierzyć trudno, jak sądzono o Niemcu przed stu, a nawet przed pięćdziesięciu laty. Campe, znany pisarz z zakresu podróży, opowiada w tym względzie charakterystyczne zdarzenie z 1790 r. Będąc podówczas w Paryżu i w Wersalu, był obecny w Zgromadzeniu Narodowem. Początek posiedzenia poświęcony był

odczytywaniu doniesień. Pomiędzy innemi w Zgromadzeniu Narodowem znalazła się także słynna książka „Von der Schiffahrt“ napisana i nadesłana „par un Allemand“. „Skoro tylko—opowiada Campe—sekretarz wymówił wyraz „Allemand“ Zgromadzenie parsknęło śmiechem. Ta okoliczność, że pewien Niemiec napisał książkę o żegludze, wydała się członkom Zgromadzenia śmieszną w takim samym stopniu, jakby wydało się nam obecnie, gdyby Grenlandczyk albo Hottentot napisał książkę o operze“. Obecnie udział Niemiec w całej flocie handlowej świata wynosi 9,9%, a Francyi tylko 3,9%. Gwiazda Niemiec wzeszła, kiedy Francyi zaszła. Bismark razu pewnego powiedział, napoły w celu wyjaśnienia, że właśnie rewolucya 1789 r., której Zgromadzenie prawodawcze znalazło słowa o żegludze niemieckiej tak wesołemi, uczyniła z Francuza innego człowieka przez wykorzenianie w nim pierwiastków germańskich(!) i zamianę ich na celtyckie. Kanclerz jednocześnie był zdania, że Hiszpania dopóty przodowała ludzkości, „dopóki przemagała w niej krew gotycka“, Włochy zaś dopóty, dopóki grały tam główną rolę germanowie północnych okolic(!).

Przejście Niemiec od idealizmu do trzeźwości, jako do pierwszego warunku świadomego swego celu handlu, wiąże się znowu z imieniem Bismarka, jako „wychowawcy narodu niemieckiego“ i z wypadkami 1870/71 roku. Pewne przymioty w Niemcu ujawniły się już za czasów wojny trzydziestoletniej, obecnie zostały tylko wydobyte z niego. Może się wydać na pierwszy rzut oka dziwnem, że do podniesienia się tego przyczyniły się Niemcy na wschód od Elby położone, przedewszystkiem Niemcy słowiańskie (Prusacy). Tutaj zauważymy, że zadanie kolonizacyjne wytworzyło w Niemcu, dążącym wciąż na Wschód, pewne

właściwości rasowe, całkiem podobne do tych, jakie za naszych czasów ujawniły się w Amerykaninie północnym.(!) To były całkiem pokrewne zadania. Karol Lamprecht, jeden z najlepszych znawców skłonności niemieckich i historyi, ma zupełną słuszność mówiąc, „że przez parcie na wschód, niemiecki zmysł organizacyjny staje się znacznie większym(!), niż przez parcie na zachód: „Kiedy przychodziło się na wschód i kolonizowało go, przenosiło się niejako stosunki zachodnie na coś, będącego „tabula rasa“(!). Nie było tam nic, co stanowiłoby przeszkodę w systematycznem postępowaniu naprzód. Zmysł tedy organizacyjny i wszystko, co jest z nim związane, zależy w wysokim stopniu wprost od kolonizacyi Wschodu“.

„Pociąg do wielkości“ tkwił również znacznie wcześniej we krwi tak dobrze Niemca ze wschodu, jak i we krwi hanzejczyków, dla których morze było „tabula rasa“. Jednak ten pociąg był darem pewnej tylko ograniczonej liczby. Ogólne dobro wszystkich, specyficzną właściwością Niemca stanowiły poczucie obowiązku i wytrwałości w raz podjętem zadaniu. Tacyt już to wysławia.

Te dwie właściwości stanowią i obecnie wielkość Niemca, a druga z nich czyni z niego pomyślnego rywala Anglii pomiędzy innymi. Blondel, znany ekonomista francuzki, ustala powyższe określenie w następujący sposób: „Wytrwała wola przystosowania się do obcych potrzeb i nagięcia się do każdego smaku, rozwija w Niemcu niezmordowaną czujność, która nie pozwala mu odbiegać od zadania“. Inni mówią nadto o „małostkach“ charakteru niemieckiego i usiłują przypisać je twardej szkole, przez jaką przechodzą obecnie Niemcy. Ale w rzeczywistości jest to świadomość obowiązków, o co właśnie chodzi obecnie. Poznali się na tem doskonale Anglicy. Hicks-

Beach, angielski minister finansów, wyraził się zwięźle (przy podziale cen w Mansion-House): „należałoby młodemu anglikowi dać najstaranniejsze wychowanie handlowe i nie ustępowałby bynajmniej młodemu Niemcowi w pilności, w poświęceniu się w zawodzie i w bacznem wypełnianiu powinności".

Tutaj otóż, przy porównaniu Anglii z Niemcami widzimy, jak o zdolnościach w ostatniej instancyi decydują: człowiek, a w człowieku „krew" i „system wychowawczy", to jest szkoła historyi i warunki natury zewnętrznej.

Pewnem jest, że Niemcy są w stanie prześcignąć Anglię na wielu polach. Nie chcielibyśmy się jednak zgadzać z chórem tych, którzy już widzą Anglię obsaczoną przez Niemcy na wszystkich niemal punktach. Wziąwszy atoli pod uwagę nieznaczną siłę „psychiczną" Anglii, stwierdzoną podczas ostatniej wojny, można się skłaniać do mniemania, że moralna, duchowa i gospodarcza potęga Anglii jest niewielkiej wagi.

Z angielskich i niemieckich pierwiastków zrodziła się zdolność Stanów Zjednoczonych. Tam zastanawia wzbicie się z niższości przemysłowej do wyższości przemysłowej tyle raptowne. Przed 20-tu a nawet przed 10-ciu laty koszty produkcyi wyrobów amerykańskich były ogólnie wyższe, a nawet znacznie wyższe niż wyrobów angielskich i niemieckich. Dzisiaj są one we wszystkich głównych i najgłówniejszych gałęziach znacznie niższe, niż u nas. W 1890 r. mało kto wierzył, żeby Ameryka w najbliższym czasie mogła produkować żelazo tak tanio, by na wyścigi konkurować z Anglią. W 1900 roku obraz zmienił się zupełnie. „Ponieważ—pisze biuro statystyczne Stanów Zjednoczonych w 1900 r. — koszty produkcyi żelaza w Europie podnoszą

się wraz z wrastającymi kosztami dobywania surowca, a w Ameryce ponieważ koszty zniżają się, przeto niedalekim, zdaje się, być dzień, jeśli jeszcze nie nadszedł, kiedy stan kosztów produkcyi w Ameryce będzie określać cenę żelaza na rynku wszechświatowym. Potrzeba jeszcze zniżenia frachtu morskiego, aby uczynić Amerykę panią rynków cudzoziemskich. Jest to pogląd urzędowy. Carnegie, Krupp amerykański, tak uzupełnia słowa wyżej powiedziane: „Ten naród, który ma najtańszą stal, ma u nóg swych inne narody. Najtańsza stal oznacza najtańsze okręty, najtańsze maszyny i najtańsze 1001 artykułów, w których stal stanowi podstawę“.

Znaną jest olbrzymia energia rasowa, jaka tkwi w Amerykaninie; jego wytrwałość, odwaga, ryzyko. Samo przez się tutaj szczęśliwe warunki zewnętrzne sprzyjały także w najwyższym stopniu rozwojowi uzdolnienia. Wiadomo przecież, że jak robotnik europejski „amerykanizuje się“ w Ameryce, tak robotnik amerykański na lądzie europejskim przestaje wkrótce pracować po amerykańsku. Jak w wysokim stopniu wpływa rasa na szczególny charakter postępu amerykańskiego, widać z tego, że na polu przemysłowem niebezpieczeństwo amerykańskie uważane bywa przedewszystkiem za groźne dla takich wyrobów, których produkcya opanowana jest przez trusty. Stwierdzono najzupełniej, że niemniej niż $^3/_4$ wywozu przemysłowego Stanów Zjednoczonych składa się z płodów, opanowanych przez trusty i tym podobne związki; kapitał leżący w trustach wynosi dziś nominalnie nie mniej, niż 40 milionów marek. Trusty wogóle są tworem oddzielnych przedsiębiorców wielkich. Nic oprócz Ameryki nie daje pojęcia o wielkości tych milionerów amerykańskich.

Przytaczamy to w celu udowodnienia, jak decydującą

rolę gra tam szczególne uzdolnienie. Ameryka stworzyła sobie własny typ przedsiębiorczy. Przypomina on sobą dość wyraźnie typy pragermańskie, z jakiemi spotykamy się w zaraniu północnej historyi i kultury. „Kiartan— opowiada Klöden — jeden z najbardziej znamienitych kupców, pochodził z krwi królewskiej. Thorkill Eyolfsson, którego Laxdäla-Saga mieni odważnym mężem ze znakomitego rodu, był jednym z najsławniejszych kupców. Thorstein oświadczył, że zdaje mu się, jakoby kupiectwo przynosiło więcej honoru i blasku, niż męztwo. Wielu zasłynęło, jako wielcy kupcy, naprzykład, Thorhall, ojciec św. Thorlacha, biskupa Skalholtskiego, Oddfeigsson, Aulver i Asmund“. Przedsiębiorca amerykański posiada te same właściwości co i Wiking, jest on, podobnież jak byli oni, pierwszym „śmiałkiem“ świata.

Któż nie wie tego, że absolutna wolność polityczna i społeczna w Ameryce, brak stanów i przesądów, fakt, że każdy znaczy tyle, ile jest sam wart, a nie przez drugich, również dobre jak i niezmiernie bogate uposażenie od natury, przychodzą z pomocą inicyatywie kupieckiej i dostarczają jej częściowej podstawy. Bez tego wielkiego ducha kupieckiego, jaki tkwi we krwi, Ameryka nie byłaby nigdy tem, czem jest. Ritchie, były prezes kupiectwa angielskiego, dnia 23 listopada 1897 roku powiedział: „Jeśliśmy się dotąd zawsze obawiali bardzo konkurencyi ze strony Niemiec, to dziesięć kroć razy większe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej;“ hr. Gołuchowski zaś, austryacko-węgierski minister spraw zagranicznych, trzy dni temu wyraził się: „Wiek XX zapowiada się Europie, jako stulecie zapasów na polu handlowo-politycznem o byt, i narody

europejskie powinny łączyć się, aby skutecznie bronić podstaw, na jakich spoczywa ich siła żywotna".

Rozpaczliwem można nazwać położenie takich, „potężnych" państw, jakiemi są Niemcy i Anglia, ale bynajmniej nie Ameryki. Niektóre z obaw, głośnych za naszych czasów, chybiają celu. Ale stanowisko, jakie te państwa zawojowały sobie, wystawione jest na niebiezpieczeństwo przez Stany Zjednoczone, i jednem z zadań najbliższego czasu będzie bezwątpienia wynalezienie środka obrony przeciwko temu państwu, którego wielkość powstała z połączenia krwi niemieckiej i bretońskiej.

Przełożył
Ed. Chwalewik.

ZE SZTUKI ROSYJSKIEJ.

Wystawa „Mir Iskustwa".

„Mir Iskustwa"—jest to tytuł czasopisma miesięcznego, od lat czterech w Petersburgu wychodzącego, które się wyłącznie objawami i dążeniami sztuki współczesnej tak rosyjskiej jak i wszechświatowej zajmuje i ciętem piórem za nie walczy. Redaktorem i wydawcą pisma jest p. S. Djagilew, człowiek młody jeszcze a poprzednio mało komu znany, odznaczający się dużym zasobem energii, rzutkością, niepospolitą znajomością sztuki i wielkiem ku niej zamiłowaniem. Obok tych zalet, posiada wiele wad; grzeszy nieraz jaskrawo zbytnią koteryjnością, niepotrzebną a rozdrażniającą bezwzględnością i chyba nie zupełnie szczerem wywyższaniem jednych artystów na koszt drugich, niemniej zasłużonych. Lecz mimo to, zaprzeczyć się nie da, że się w znacznym stopniu do ożywienia i rozwoju sztuki rodzimej w różnych gałęziach przyczynił i pewne zasługi w tym kierunku położył. Z tego rodzaju ludźmi nie zawsze się można zgadzać, ale w pewnych warunkach działalność ich jest nader pożądaną i korzystną. U nas analogicznem było wystąpienie p. Feliksa Jasień-

skiego, ale, niestety, jak zwykle u nas, był tylko początek, na dalszy zaś ciąg nie mogliśmy się zdobyć.

Redakcya „Mir Iskustwa“, rok rocznie urządza wystawy sztuki i w tym celu utworzyło się stowarzyszenie bliskich jej artystów, które od siebie i postronnych zaprasza kolegów. Pierwsze wystawy w Petersburgu, głównie dzięki udziałowi wybitnych artystów europejskich, miały wielkie powodzenie i bardzo ożywczo oddziaływały po raz pierwszy, bo pokazywały rosyjskiej publiczności zbiór dzieł o wysokim poziomie artystycznym, bez zwykłego balastu średnich, szablonowych malowideł. Następne jednak były mniej udatne i jeśli chodzi o analogię, to powiedzieć można, że z pewnemi, naturalnie, odmianami, historya krakowskiej „Sztuki“ tu się powtórzyła. Tu, jak i tam, pierwsze wystawy mogły skorzystać z prac lat poprzednich, dla następnych zaś zapas ten się wyczerpał a zasklepienie się w ciasnem kole, rzucająca się w oczy koteryjność, broniły dostępu nowym i świeżym siłom.

Do Moskwy wystawa „Mir Iskustwa“ po raz pierwszy zawitała, mogła więc wybierać z plonów kilkoletniej pracy, co ją też na tutejsze warunki uczyniło liczebnie bogatą; niektórym zaś artystom dało to możność przedstawić tutejszej publiczności dość pełny obraz swej twórczości. Wdzięcznym też trzeba być komitetowi wystawy, że pokaźny szereg prac ciężko chorego M. Wrubela zebrał.

Z uczuciem głębokiego smutku, że twórczość tego wysoce utalentowanego artysty może na zawsze już zniszczona, widz staje przed główną ścianą, na której płótna jego rozwieszono. Nie ulega wątpliwości, że Michał Wrubel (ze strony ojca pochodzenia polskiego), należy do najbardziej silnych i samodzielnych osobistości współczesnego pokolenia malarzów rosyjskich. Przy wielkim talencie de-

koracyjnym, posiada ogromnie oryginalną, świetną fantazyę i czarujący koloryt. Mało stworzył obrazów, któreby pod względem formy, barwy i kompozycyi stanowiły całość bez zarzutu, ale prawie wszystkie odznaczają się tak wybitnemi zaletami malarskiemi i kolorystycznemi, że częste braki rysunkowe łatwo się wybacza. Chronologicznie najdawniejszy obraz — to „Hiszpanka wróżąca z kart“, płótno pięknie sharmonizowane, ale jeszcze bez charakterystycznych cech Wrubela. Dużych rozmiarów panneax dekoracyjne „Faust i Małgorzata“, stylizowane na wzór obrazów mozaicznych lub haftów aplikacyjnych i utrzymane w arcypięknym, ciepłym, czerwonawo-żółtawym tonie, wprost pieści oko swym kolorytem.

Tę samą stylizacyę widzimy w „Demonie“, który to temat niejednokrotnie wabił artystę i któremu poświęcony był mało udatny, ostatni obraz przed chorobą. W danem płótnie „Demon“ przedstawił się malarzowi jako siedząca, brunatna postać mężka, o bujnych, czarnych kędziorach; potężne ramiona obejmują podniesione kolana, pokryte niebieską draperyą a na twarzy maluje się głęboki smutek nad czemś utraconem, tęsknota za czemś dalekiem, nieuchwytnem. Smętna ta nuta nadaje całej kompozycyi nastrój pełen melancholii, uwydatniający się zwłaszcza na pewnej odległości. Ale najbardziej może zachwyca i ujmuje Wrubel swemi małemi szkicami. Są tu motywy z rosyjskich „bylin“, wizye fantastyczne i bajeczne, projekty dla kurtyny, kominków majolikowych — wszystkie pełne twórczej, zupełnie samodzielnej fantazyi, w bogatej skale cudownych, sutych a nieraz przedziwnie delikatnych kolorów.

Rzeczy te, rozmiarami drobne, same przez się wystarczają, by uczynić znakomitym artystę, który wbrew obo-

jętności publiczności, wbrew wydziwaniu ograniczonej krytyki rodzimej, niezachwianie dążył do swego celu i nigdy na żadne ustępstwa, na żadne przypochlebianie się gustom bogatych mecenasów nie zgadzał.

Obok Wrubela najbardziej zwraca na siebie uwagę W. Sjerow, głównie jako portrecista. Wielbiciele tego artysty porównywają go często do Zorna, Sargenta etc., co jednak trochę przesadą trąci. Niewątpliwie, wielcy ci malarze mieli na Sjerowa wpływ dość widoczny, ale ostatni w żadnym razie nie dorównywa im w mistrzowskiem panowaniu nad stroną techniczną, i nigdy nie można mu nadać tytułu „maitre-peintre'u", jaki oni słusznie noszą. Do najlepszych dzieł Sjerowa należy żywy bardzo portret pani Botkin, siędzącej na sofie, malowany przed kilku laty. Cera i włosy brunetki, blado-żółta suknia, różami przybrana i ciemno-niebieska w deseń kanapka, dostrojona do bardzo wykwintnego akordu barwnego; szkoda że zbyt sztywna poza przy balowej szacie, trochę wrażenie osłabia. Późniejszy portret księżny Jusupow w jasnej sukni, na sofie prawie tegoż koloru siedzącej, mniej udatny. Bardzo drobnostkowo wypracowana głowa, niekorzystnie odbija od szeroko i pobieżnie malowanej figury, a ciemno-zielony stanik wśród jasnego płótna, niegustowną plamą psuje efekt całości. Z męzkich portretów wyróżnia się doskonale, poważne popiersie Wielkiego Księcia i możliwie mało oficyalny portret Cesarza w czerwonym angielskim mundurze. W bardzo podobnym stojącym portrecie znanego tutejszego milionera, z werwą ale trochę karykaturalnie pojętego, rażą pewne usterki rysunkowe—wogóle u Sjerowa nierzadkie i nienaturalny, kredowy kolor twarzy. Poza tym artysta wystawił jeszcze kilka ładnych, nastrojowych krajobrazów i pełną temperamentu akwarelę z epoki Cesa-

rzowej Elżbiety: „Myśliwi na koniach pędzą przez ruską wioskę".

K. Korowin, który swemi malowidłami dekoracyjnemi na ostatniej wystawie paryskiej zdobył powszechne uznanie, niestety od kilku lat prawie wyłącznie dla teatru pracuje i prócz dekoracyi nic wybitnego nie stworzył. Liczne szkice do tych ostatnich zbyt pierwotną noszą formę, by do przeciętnego widza przemawiać mogły, jedynie kilka soczystych studyów daje wyobrażenie o dużym talencie artysty. Są to ciepło odczute skrawki przyrody wielkoruskiej, doskonale po malarsku oddane, ale dla malarza tej miary co Korowin zadanie to trochę za łatwe.

T. F. Maljawin rozgłos europejski zawdzięcza wspomnianej wystawie paryskiej, na której duży jego obraz „Śmiech" ogromne miał powodzenie. Na tutejszej wystawie młody artysta pewne wywołał rozczarowanie. Bardzo miły i szczery portret chłopca w białej bluzie wszystkim się podoba, ale jestto praca z roku 1898, nowsze zaś portrety dziewczynki i p. Djagilewa w zbyt silnym stopniu są wzorowane na paryskich modnych malarzach, zbyt dużo posiadają brawury, a zbyt mało pogłębienia i prostoty. Dzięki tej manierze, Maljawin z interesującej powierzchowności p. Djagilewa zrobił faceta o arcymodnym paltocie i cylindrze. Ale już po otwarciu wystawy artysta nadesłał jeszcze dużych rozmiarów studyum, które go w znacznie lepszym przedstawia świetle i sporo dawnych jego zalet zawiera. Trzy baby w świątecznych strojach, mocno podochocone, podrygującym krokiem idą wprost na widza, a boczne światło wesoło igra na jaskrawo-czerwonym fartuchu i krzycząco niebieskiej spódnicy. Z obrazu bije silny temperament, ale też niedająca się zaprzeczyć doza efekciarstwa. Kobieta w fartuchu, zbyt tęga i przysadzista,

zakrawa na karykaturę, ale przepyszną jest mołoducha na lewo od widza, dziwnie szlachetnego typu. Trzeba przyznać, że nikt przed Maljawinem w malarstwie rosyjskiem w ten sposób nie potrafił oddać typowych figur ludowych, i że od młodego malarza jeszcze dużo, po tych próbach, spodziewać się można.

Najbliższe koło petersburskie współpracowników „Mir Iskustwa“ — po części i w zakresie literackim, względem którego nota bene czasopismo stale pochwał nie szczędzi, na ogół biorąc, zawiodło. Najbardziej z nich utalentowany i zagranicą ceniony K. Somow, widocznie nie chciał, za przykładem swych kolegów, urządzić wystawy zbiorowej swych prac i ograniczył się jedynym obrazem, „Wieczór“ zatytułowanym. Trudno zrozumieć, co właściwie malarz chciał wyrazić kawalerem i dwiema niewiastami w perukach i wykwintnych kostyumach rokokowych, umieszczonych w altanie na tle sztywnego parku francuskiego i żółtawego, wieczornego nieba. Somow wogóle ma słabość do tej epoki, znakomicie ją zna i często motywy z niej czerpie, ale w danym razie cała scena tak dalece pozbawiona jest wyrazu, naturalności i piękna barwnego, że widza wprost w zdumienie wprawia.

W akwarelach i pastelach Aleksandra Benois nie widać wcale krewkiego temperamentu, który artystę tego cechuje na polu literackiem i który w II-ej części jego „Historyi rosyjskiego malarstwa“, taką jednostronnością i rubaszną bezwzględnością się uwydatnił, że większość czytelników mocno oburzył. Jako malarz, Benois lubuje się w zacisznych widokach i wnętrzach pałaców cesarskich pod Petersburgiem lub królewskiego Versal'u. Szczególnie wnętrza świetnie mu się udają i niektóre z tych obrazków są poprostu śliczne. Środkami czysto malarskiemi umie

on wydobyć całą poufną poezyę owych pięknych, a pustych sal. Ominąć też niewolno bardzo ładną i nastrojową scenę z parku wersalskiego: „Ludwik XIV spacerujący z dworzanami podczas burzy“.

O. Braz wystawił liczne portrety, krajobrazy i studya, ale wbrew tej wielostronności, snadź artysta jeszcze nie znalazł najodpowiedniejszego dla siebie rodzaju. Prace jego świadczą o bardzo wyrobionej technice, zwłaszcza rysunkowej, o pewnem upodobaniu do zadań kolorystycznych, ale głównie brak im indywidualności, piętna samodzielnej natury artystycznej. Wsród portretów nas, Polaków, przyciąga ładna głowa Ruszczyca.

W silniejszym jeszcze stopniu brak ten indywidualności charakterystycznym jest u L. Buksta, który w dodatku jest mniej biegłym rysownikiem niż Braz i mniej od niego posiada temperamentu. Jego duży portret kobiecy ma tylko zaletę sumienności, a w dekoracyjnych winietach łatwo pierwowzory odgadnąć.

Dwaj rysownicy, utalentowany E. Lancesay i mało ciekawy J. Bilibin, którzy często stronnice „Mir Iskustwa“ swemi ozdobami upiększają, przysłali tylko parę rysunków piórkowych. I. Grabar przedstawia się jako pejzażysta realistyczny, imitujący silne, sute kolory. Typowa wiejska siedziba pańska, pomalowana na żółto z białemi kolumnami i balustradami, dostarczyła mu tematu do szeregu bardzo dobrych płócien. Pokazuje nam „słońcem zalany postal domu, kawał balkonu ze schodami, lub ogród w pysznej szacie jesiennej — wszystko po malarsku doskonale wyzyskane.

Odmienną zupełnie od poprzednich fizyonomię artystyczną posiada A. Rerich, który dopiero niedawno do ich grona się przyłączył. Nęci go stara, prawie przedhisto-

ryczna Ruś i scenami z jej życia zapełnia dużą ilość płócien, dość znacznych rozmiarów. Widzimy drużynę uzbrojoną, przez wąwóz śniegiem pokryty kroczącą, starca wśród zgruba ociosanych, pstrych bożyszcz, budowę grodu drewnianego, starszych rodu około ogniska zebranych lub gości zamorskich na okręcie.

Rzeczy te, dekoracyjnie traktowane, robią wrażenie trochę powierzchowne, mało pogłębione i nie czuć w nich owych wewnętrznych nici, łączących artystę z wybranym tematem. W dodatku, przyjemna bardzo gama tonów, w guście Brongwyna, nie zdaje się licować z pierwotną, surową epoką, co bardziej jeszcze charakter ilustracyjny obrazów uwydatnia. Szczerszemi wydają się studya krajobrazowe Rericha.

Pejzażystami czystej wody są: P. Petrowiczew, M. Mamontow, Lotysz, W. Purwit, oraz Polacy: F. Ruszczyc i J. Żukowski. Z nich najbardziej może na uwagę zasługuje pierwszy. Krajobrazy Purwita, zwłaszcza zimowe, dzięki prawdziwemu kolorytowi i nastrojowi, niezawodnie wszędzie uznanie znajdą, lecz zanadto przypominają przedwcześnie zgasłego Lewithana i nowego sposobu pojmowania północnej przyrody nie wykazują. I Mamontowowi również brak tej nuty indywidualnej. Posiada ją natomiast niewątpliwie Petrowiczew. Urobił on sobie jakąś odrębną technikę, która przy realnych, może nawet trochę fotograficznych formach, malowidłom jego nadaje dziwnie mięki ton i urok pięknie zharmonizowanych gobelinów.

Żukowski był uczniem Lewithana i w silnym stopniu wpływowi tego mistrza ulegał. W najnowszych pracach powinowactwo to już mniej staje się widocznem, napróżno jednak szukamy w nich zupełnej samodzielności. Na tle warszawskiej Zachęty obrazy Żukowskiego korzystnie od-

bijają, tutaj zaś wogóle mało się wyróżniają wśród licznych dobrych krajobrazów rosyjskich. Bez porównania oryginalniejszym jest talent Ruszczyca, chociaż próby jego na wystawie do bardzo szczęśliwych nie należą. Za wypożyczenie od tutejszego właściciela dużego płótna „Młyn zimą“, jeszcze z r. 1898, artysta komitetowi wdzięcznym być nie powinien, jest to bowiem praca chybiona, przykro oleograficzna w kolorze. Nowsze studya pejzażowe znamionują silny temperament indywidualny, zamiłowanie do kontrastów barwnych — przez co nawet niektóre rzeczy trochę surowemi w tonie się wydają — i pewien element krzepkiej wesołości, bardzo pożądany i ujmujący. Trio polskich malarzów na wystawie dopełnia Jan Ciągliński, świeżo mianowany profesor Akademii petersburskiej. Prócz słabego, uczniowskiego studyum rzeźbiarskiego, przysłał aż trzydzieści kilka małych studyów z podróży do Palestyny i Maroko. Są to rzeczy sumienne, ciekawe etnograficznie a nieraz dość ładne, ale wartość ich artystyczna, rzadko przekracza granice wymagań skromnych. Gwoli sumienności wymienić jeszcze trzeba ciekawe szkice do dekoracyi teatralnych A. Gołowina, kilka obrazków zmarłej w tych dniach Jakunczykow i parę drobnostek S. Maliutina, nie dających bynajmniej wyobrażenia o odrębnym talencie tego wybitnego artysty.

Zupełnie na uboczu stoi oryginalny bardzo karykaturzysta P. Szczerbow, z swemi pomysłami satyrycznemi lub tylko humorystycznemi. Szkoda wielka, że ten cięty satyryk, władający doskonałą, aczkolwiek od wpływów japońskich nie zupełnie wolną techniką, zbyt mało czerpie z bogatej krynicy życia ogólnego i zanadto się zasklepił w drobnych zajściach i waśniach świata artystycznego. Wskutek tego większość jego rysunków tylko wtajemni-

czonych do śmiechu pobudza, dla ogółu zaś niezrozumiałą pozostaje. Z wystawionych sześciu akwarel, przepyszną i pełną komizmu jest karykatura nieznanego pisarza, wsławionego niezliczonemi, nieraz trochę fantastycznemi, opisami podróży. Żywcem sportretowany literat, z rozwianemi bokobrodami, pędzi w mieszkaniu na rowerze, po drodze pióro w kałamarzu macza i wrażenia swe spisuje.

Dział sztuki graficznej składa się tylko z wybornej dużej i kilku mniejszych akwafort W. Sjerowa, oraz z prześlicznych, oryginalnych drzeworytów kolorowych panny A. Ostroumow. Ostatnie, choć pewnie wzorowane na mistrzu A. Lepèrze, są pracą samodzielną, w najlepszym sensie współczesną i pełną prawdziwie kobiecego wdzięku.

Również ubogo przedstawia się rzeźba. Prócz nieznacznych rzeczy panny Gołubkin i F. Obera, zdobią ten dział jedynie śliczne i zawsze chętnie widziane posążki księcia P. Trubeckoja, w znanym jego rodzaju.

Paweł Ettinger.

Z DZIEDZINY WIEDZY.

I.

Nad brzegiem oceanu wiedzy. — Oddziaływanie ziemskich prądów na telefony.—Wpływ cyklonów i anticyklonów na zdrowie.—Telefon między Rzymem a Paryżem. — Fotografogen Baderni'ego. — Caze o wynalazku aparatu dla ślepych.—Krytyka naukowa tego humbugu.

Nauka pędzi naprzód krokiem szalonej szybkości, ale tajemnica jaką wydrzeć pragnie przyrodzie, jest rozległą jak nieskończoność. Prawdę powiedział jeden z wielkich naturalistów: iż ludzkość z wyciągniętemi ramiony stoi na brzegu niezmiernego oceanu wiedzy i zdobywa zaledwie po kropelce świadomość tego, co się tam w głębi i dali znajduje. Ale jak żeglarz, puszczający się w odmęty fal, nie traci nadziei, że dopłynie do celu — tak i przyrodnik - mędrzec, żywi ją nieustannie, pewny, że przy świetle rozumu rozwiąże nasuwające się zagadnienia.

Zadano pytanie: jaki być może związek między wielkiemi zjawiskami wstrząsającemi naszym globem a żyjącem na nim rojowiskiem ludzkiem? — Wybuchy wulkaniczne, trzęsienia ziemi, cyklony i anticyklony straszliwe, oprócz niszczącego wpływu na najbliższe otoczenie przez ogień, popioły, pary wodne, zalewy wód, napór huraganu—

czy wywierają jakie działanie na człowieka? Nauka poczęła dopiero teraz zbierać fakta celem rozwiązania tego zagadnienia. W Andiżanie podczas trzęsienia ziemi zauważono, iż przy słabych nawet, niedających się odczuć prądach podziemnych, dziwnie się zachowują przewody telefoniczne, wydając stały rytmiczny dźwięk słyszalny. Zdaje się, że w tym przyrządzie znaleziono nietylko ostrzegacza o zbliżającem się niebezpieczeństwie, ale także stały dowód krążących podziemnych prądów. Podobny wpływ na telefony zauważono przy gwałtownych zmianach powietrza i głównie podczas cyklonów i anticyklonów. W tym razie ostrzeżenia mają praktyczną nawet wartość. Badania nad wpływem cyklonów i zmian atmosferycznych na zdrowie ludzi, prowadzą się nie od dzisiaj. Wiadomo, iż nasz organizm bardzo często ulega chwilowym, parugodzinnym lub dniowym cierpieniom. Do tego rodzaju cierpień należą np. pewne formy reumatyzmu, migreny, ból w dawnych ranach, ćmienie zębów, newralgia, nadczułość pewnych uprzednio chorych organów, i t. d. Wprawdzie nie są to choroby śmiertelne, ale gdy się zjawią, niemniej bolesne. Otóż sprostrzeżono, iż cierpienia te zostają w pewnym związku ze stanem atmosfery. Rzecz to oddawna znana i w praktyce stwierdzona, ale medycyna urzędowa mniej się tą sprawą zajmowała. Wiadomo, że nawet zupełnie zdrowi podczas niepogody lub nagłych zmian atmosferycznych, usposobieni są pesymistycznie, cierpią na humorze, nawet wtedy, gdy jeszcze ani barometr ani termometr nie wykazują zmian i stoją w poprzedniej mierze. Zresztą, fakt ten jest zgodny z zachowaniem się całej przyrody, która—że tak powiemy—„przeczuwa“ oddziaływanie przyszłych prądów w atmosferze. Wpływ ten na zdrowie ludzkie szczególniej się wykazuje podczas cyklonicznych

ruchów atmosfery; stale zaobserwowano, iż w chwili zbliżania się cyklonu wzmagają się dolegliwości astmy, przypadłości chorób sercowych i wogóle następuje obostrzenie wszelkich chorób chronicznych, zakłócenia u psychopatów, pobudzenia nerwowe u alkocholików i t. d. Wpływy te występują nie u wszystkich chorych w jednej formie i w jednakiem stopniu natężenia. Jedni podpadają migrenie, inni łomowi kości, jedni odczuwają zbliżanie się zmiany na dwa, trzy dni, drudzy ustąpienie zaburzenia atmosferystycznego po paru dniach. Najczulszymi w tym względzie są neurastenicy i dlatego spodziewać się można, iż w przyszłości w Europie i Ameryce Północnej powstaną dla nich uzdrowiska w miejscowościach najmniej podległych barometrycznym oscylacyom. Zjawiska powyższe mniej są widoczne w peryodzie antycyklonów lubo na naszej półkuli jesienią, zimą i na wiosnę podczas panowania północnych i północno-wschodnich wiatrów, wybuchają zapalenia płuc, krup i influenza. Spostrzeżenia powyższe mogą z czasem doprowadzić do pewnych zastosowań w medycynie praktycznej.

Rozpoznawszy bowiem swoją wrażliwość na wpływ cyklonicznej lub anticyklonicznej pogody, za pomocą obserwacyi barometru, możemy przedsiębrać środki zapobiegawcze spodziewanym dolegliwościom. Wstrzymując się np. od natężonej pracy, żywiąc lekkostrawnemi pokarmami, używając wypoczynku i snu, neutralizujemy wpływ atmosfery i zmniejszamy swoje cierpienia. Są to naturalnie dopiero pierwsze spostrzeżenia, rzuty i hypotezy, ale praca obserwacyjna raz w tym kierunku popchnięta wydać musi odpowiednie rezultaty.

Kiedy zagadaliśmy o telefonach, warto zwrócić uwagę na nowo założoną linię między Rzymem a Paryżem. Śmiałe

to przedsięwzięcie zostało uwieńczone zupełnem powodzeniem. Obustronne komisye odbiorcze stwierdziły, iż w te'efonie dają się swobodnie odróżnić głosy mówiących, bez żadnych przeszkód i owego fatalnego skrzeczenia, tak właściwego telefonom wszelkich systematów. A jednak linia Paryż-Rzym jest najdłuższą w Europie, ma bowiem 1,593 kilometry, kiedy Paryż-Berlin 1,189, Berlin-Budapeszt 979, Paryż-Marsylia 863, Paryż-Londyn 470 kilom. Linia Rzym-Paryż idzie przez Florencyę, Bolonię, Turyn na włoskiem terytoryum 834 kilom. i przez Chambery, Lyon do Paryża 759 kilom. po ziemi francuzkiej. — Przewodnik telefoniczny rozpięto na słupach telegraficznych, co jak wiadomo stanowi wielką niedogodność, gdyż telegrafowanie, mianowicie aparatem Morse'a, udziela się telefonowi i sprawia fatalne pomieszanie głosów. A jednak na linii Rzym-Paryż uniknięto tej niedogodności dzięki temu, iż założono druty w ten sposób, aby na każdym kilometrze stanowiły spiralną o 1593 zwrotach. Tym sposobem otrzymano głos czysty i jasny.

Ale na tem nie koniec. Włochy szczycące się Marconim, nie ustają w przodowaniu na polu zastosowań elektryczności do telefonu. Gazety włoskie zwiastują o nowym wynalazku piacenczyka, dwudziestoletniego Artura Baderni, nazwanym „fotographogenem“, za pomocą którego można przesyłać na odległość pismo, rysunek nawet fotografie, sposobem automatycznym. — Trudność w tym razie polegała na zastosowaniu aparatu mechanicznego do toku elektrycznego. Praca jednak Baderni'ego prowadzoną była systematycznie i zagadnienie zostało rozwiązanem pomyślnie. Wynalazek przedstawia wielki tryumf nauki i ma przed sobą dużą przyszłość.

Jednocześnie rozchodzą się pogłoski o zastosowaniu elektryczności do budowy aparatu, pozwalającego dobrze widzieć nietylko niewidomym z powodu choroby oczu, ale ślepym od urodzenia. Pogłoski te są tak fantastyczne, iż tylko z zastrzeżeniem, jako curiosum naukowe, możemy o nich wzmiankować. Dr. Caze w „Revue des Revues“ opowiada, iż uczony lekarz londyński Stewns, poddał go następującemu doświadczeniu: zawiązawszy szczelnie oczy, wprowadził go do ciemnego pokoju i przystosował do obu skroni wynaleziony przez siebie aparat. Po chwili dr. Caze odczuł słabe światło, które rosło i w końcu mógł on rozróżniać przedmioty, prawie tak wyraźnie, jakgdyby nie miał zawiązanych oczu. Według dr. Caze, wynalazca w następujący sposób objaśnił działanie swego aparatu: wbrew utartemu mniemaniu widzimy nie oczyma, ale mózgiem; oczy służą nam jedynie do przyjmowania wrażeń wzrokowych i przesyłania takowych do nerwów czucia wzrokowego, znajdujących się w mózgu. Ślepi, dzięki doświadczeniom dotykowym, posiadają dość dokładne pojęcie o kształtach przedmiotów. Gdyby człowiek nie posiadał wcale oczu, to zastąpiłby takowe którymś innym ze swych organów. Wiadomo, że niektóre nasze zwierzęta zupełnie pozbawione są organu wzrokowego (oczu) a przyjmują wrażenia świetlne całą powierzchnią ciała. Skoro więc wrażenie świetlne może być przesłane bezpośrednio do mózgu, to ślepi otrzymując takowe, mogą się nie posługiwać oczyma i patrzeć mózgiem. Opierając się na tem rozumowaniu, wynalazca zbudował aparat a przyjmując przedmiot na ekran odpowiadający siatkówce, przesyła takowe wyobrażenie za pomocą elektryczności bezpośrednio do mózgu.

Sny nasze — rozumuje dr. Caze — dają nam przykład odbierania (?) wrażeń wzrokowych nawet wtedy, gdy oczy są zamknięte. Czyż nie można ztąd wyprowadzić wniosku, iż oczy nie są konieczne do przeprowadzania wzrokowych wrażeń i że takowe mogą się dostawać bezpośrednio do mózgu. W chwilach głębokiej zadumy, patrzymy niejednokrotnie na dany przedmiot i chociaż doskonale się on odtwarza na siatkówce—nie widzimy go wcale. Pochodzi to ztąd, iż mózg nasz w danej chwili tak silnie jest zaabsorbowany wewnętrzną pracą, iż nie przyjmuje innych świetlnych wrażeń, mimo że przesyła je oko. Dr. Caze znajduje to tłómaczenie wystarczającem i sądzi, iż organ pośredniczący—oko — dające się najłatwiej ze wszystkich organów zmysłowych usunąć — można zastąpić sztucznym aparatem, który obraz na ekranie za pośrednictwem elektryczności bezpośrednio przenosi do mózgu.

Czy to jest fakt, czy tylko złudzenie dr Caze? — rozstrzygnąć w tej chwili niepodobna. Można tylko protestować przeciw tłómaczeniu wynalazku, przytoczonemu przez dr. Caze a protestować na podstawach dziś znanej wiedzy. Co to jest światło? Nowa teorya światła odpowiada, że jest to drganie eteru. Ażeby otrzymać wzrokowe wrażenie, trzeba na organ patrzenia—oko, albo mówiąc ściślej na jego siatkówkę, podziałać nadzwyczaj szybkiemi drganiami eteru, wywierającemi na tę siatkówkę wpływ specyficznie drażniący. Liczba drgań eteru, potrzebna w tym celu, musi być nie mniejszą nad 450 a nie większą nad 760 trylionów w sekundę. W tej bowiem granicy mieszczą się wrażenia wszystkich kolorów widma, poczynając od czerwonego a kończąc na fioletowym. Po obu stronach powyższej cyfry drgań, istnieje inne, bardziej wolne i bardziej prędkie drganie eteru a mianowicie cieplikowe i che-

miczne, nieodczuwalne dla oka, ale dające się ujawnić w termo-elektrycznym aparacie i reakcyą na chlorek srebra. Siatkówka otrzymawszy zewnątrz podrażnienie, przesyła takowe nerwom wzrokowym do kory tylnej części mózgu, gdzie mieści się centr wzrokowy i tu podrażnienie siatkowki przeobraża się we wrażenie wzrokowe. Tak jak w siatkówce zewnętrzny świat fizyczny styka się ze światem fizyologicznym (drgania eteru przechodzą w proces fizyologiczny) tak w mózgowem centrum wzrokowem proces fizyologiczny przeobraża się w proces psychiczny czyli we wrażenie wzrokowe. — Z tego powodu lubo mózg jest koniecznym w czynności wzrokowej, to jednak i oko, wbrew dr. Caze, uważającemu takowe za organ łatwo dający się zastąpić innym, jest niemniej koniecznem do przyjęcia wrażenia wzrokowego. — „Łącznie zmysły nasze — mówi Helmholtz, dadzą się porównać z klawiaturą fortepianu: na której gra świat zewnętrzny. Tony—jakościowo różne wrażenia,— z grającym na klawiaturze światem zewnętrznym, nie mają żadnego podobieństwa, ale są zawisłe i określone właściwą naturą i wrażliwością dotkniętego organu zmysłów".

Kolory, tony, wrażenia smakowe nie istnieją realnie, obiektywnie, ale istnieją tylko subiektywnie w naszej psychice a obiektywnie w naturze odpowiada im zupełnie coś innego. W zewnętrznym świecie, twierdzi nauka, istnieją tylko faliste drgania. Jeżeli te drgania nie są szybsze od 32 na sekundę, to nie dadzą się naszemi zmysłami wyczuć. Poczynając od 32 drgań na sekundę powietrza, ucho nasze chwyta dźwięk w formie nizkiej nuty; z coraz szybszem drganiem podnosi się nuta a po za 38,000 drgań ucho nasze znowu przestaje odczuwać dźwięki. Dźwięki niżej 40 drgań podobne są dla naszego ucha ra-

czej do brzęczenia niż czystego tonu, wielu zaś ludzi nie słyszy świerkania świerczka, które zbliża się drganiami do górnej granicy słuchu człowieczego. Prawdopodobnie jednak, wiele zwierząt posiada słuch bystrzejszy niż ludzie po za obu powyżej wskazanemi granicami.

Niema żadnego powodu przypuszczać istnienia różnicy drgania najszybszych fal działających na nasze ucho. (38,000 na sekundę) a najpowolniejszych działających na nasze oko (450 trylionów na sekundę i to nie w grubym materyale, w powietrzu, ale w najdelikatniejszym: w eterze); Prawdopodobnie drgania w naturze stanowią jednociągłą seryę, lubo człowiekowi brakuje odpowiednich organów do przyjęcia wrażeń. Dowiedziono, iż niektóre zwierzęta posiadają właśnie takie organy, zdolne odczuwać drgania niedziałające na nas (np. ammofil szczeciniasty); tym sposobem, te stworzenia odczuwają wrażenia niedostępne nam, jak niedostępne są wrażenia kolorów dla nieposiadających oczu. Jeżeli nawet przypuścimy że pewne wrażenia zależą wyłącznie od mózgu, od tej jego części do której nerw przeprowadza pobudzenie, to jednak trudno nie uznać że wrażenie wynikło ztąd, iż kończyna aparatu przewodzącego (w oku-siatkówka) została pobudzoną drganiami pewnej szybkości. Tak jak my posługujemy się łyżką przy nabieraniu zupy a widelcem przy mięsie, tak i mózgowi służy ucho do dzwięków głosowych, oko do przyjmowania fal świetlnych. Widzimy dlatego, że siatkówka—końcowy aparat nerwu wzrokowego—posiada możność przewodzenia drgań świetlnych eteru i komunikowania swej pobudliwości centru wzrokowemu w mózgu. Gdybyśmy zdołali koniec nerwu wzrokowego wszczepić i spowodować wrośnięcie w nerw słuchowy, tobyśmy mogli widzieć dźwięki np. szum fal, huk gromu, muzykę Moniuszki, śpiew Kru

szelnickiej.—Wszystkie dźwięki, działając na nasze ucho, wywoływałyby w mózgu wrażenia świetlne. — Wtedy cała przyroda zewnętrzna przedstawiłaby nam się zupełnie inaczej, ale jak, o tem najlżejszego nawet nie mamy pojęcia.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika pewnik, iż istnieje nierozwiązalna zależność między naszemi mózgowemi wrażeniami a stanem końcowych jego aparatów, czyli naszych zmysłów.

Świetlne wrażenia występują zawsze skoro centr wzrokowy w mózgu zostanie zadrażnionym, choćby i nie przez światło padające na siatkówkę oka. Naciskając oko, uderzając po oku, drażniąc nerw wzrokowy elektrycznością — zawsze w mózgu wywołamy światło (iskry, fale etc.)—ale to nie da nam możności widzieć otaczające przedmioty, gdyż abyśmy mogli „widzieć“, koniecznie potrzebnem jest światło, padające na siatkówkę i to w taki sposób, abyśmy skutkiem załamania wewnątrz oka, mogli otrzymać obraz przedmiotów otaczających.

To, cośmy wyżej powiedzieli, wystarcza do oceny objaśnień danych przez dr. Caze, co do doświadczeń jakie odbył aparatem londyńskiego wynalazcy. Widzimy, że w tych warunkach „patrzenie i widzenie“ otaczających przedmiotów, bez światła i działalności przewodnika (siatkowki) któryby fizyologiczny proces przeprowadzał do mózgu — jest nieprzypuszczalne, gdyż działalność oka i mózgu jest dla widzenia niezbędną. Powoływanie się na sny jest naiwnością naukową, bo widzenia senne są subiektywne (wewnętrzne, lokalne) a nie obiektywne, przychodzące z zewnątrz, od świata. Sen jest iluzyą, halucynacyą, ale nie patrzeniem rzeczywistem, obywa się więc bez światła i bez udziału siatkówki oka, przysłoniętego powieką. Toż samo przytaczanie zwierząt nie posiadających organów

wzroku—jest nieporozumieniem. Ameba istotnie odczuwa działanie światła całem ciałem, ale przecież u zwierząt wyższych funkcye się różniczkują i niema żadnego porównania odczuwania światła ameby a patrzeniem człowieka.

Przytoczyliśmy tę interesującą krytykę mniemanego wynalazku, aby wskazać, w jaki sposób należy stosunkować się do szumnych ogłoszeń i fantastycznych opowiadań naukowych, w których niema nawet cienia prawdy ani uczciwości.

Z piśmiennictwa polskiego.

Juliana Klaczki: „Pisma polskie“, w układzie Ferdynanda Hoesicka. Warszawa, 1902 r.

Julian Klaczko? A tak, tak: pisał po francuzku: „Causeries florentines“, „Jules II“—z pochodzenia żyd wileński. Zdanie powyższe, to zwykła odpowiedź przeciętnego inteligenta warszawskiego doby współczesnej. O tem, że Klaczko pisał po polsku i że pisał tak, jak mało kto ze współczesnych, o tem wie tylko literacko wykształcony i ruchem historyczno-literackim interesujący się człowiek. I nic dziwnego: ostatnie dwa dzieła Klaczki: „Wieczory florenckie“ i „Juliusz II“, wyszły „po francuzku“, sam zaś autor od roku 1849 a nawet 1848, nie mieszkał w kraju. Świetlaną postać Klaczki przypominają nam swem piórem, pisząc bądź studya, bądź przekłady— to Konopnicka, to St. Tarnowski, obecnie wydał „Pisma polskie“ i objaśnił trochę życiorysowo, trochę na tle innych zdarzeń, p. Ferdynand Hoesick. Czytając tę książkę, obcując z taką osobistością jak Klaczko, mimowoli odbiera się wrażenie wysokiego duchowego zadowolenia, wprost fizycznej błogości.

Gdy po ciężkiej całorocznej pracy, z rozpalonych bru-

ków i kurzu błotnistego, wyrywa się człowiek i umęczony trzęsącym wagonem, zostaje objęty wielkiem przestworzem nadmorskiem, panoramą Tatr lub Pienin — płucami zaczerpnie ożywczego powietrza, wzrok tem rozraduje i myślą doda: ta stęchlizna stosunków, łańcuch taczkowy pracy chlebodajnej już po za mną, tu jest zdrowie, piękno i dobro—gdy bywałeś, czytelniku szanowny, w tem usposobieniu, zrozumiesz i rozkosz obcowania z Klaczką.

Przedewszystkiem, Klaczko był cudownem dzieckiem: mając lat 13 pisał wiersze; były to rzeczy przez ówczesne społeczeństwo (w 1841 r.) przyjmowane z wielkiem zajęciem; jedni się temi wierszami entuzyazmowali, inni srogo je potępiali; drukowano je („Tygodnik Literacki“, Poznań, 1843 r.), krytykowano zawzięcie („Gazeta Poranna“) i samo to zestawienie, fakt wzbudzania uczuć silnych, bądź uznania, bądź potępienia — wskazywało, że autor miał talent. Poetą jednak Klaczko nie został: zrażony krytykami, udawszy się na studya do Królewca, umilkł i tylko w 1849 r., po wypadkach poznańskich 1848 r., pisze po niemiecku w Berlinie: „List otwarty do p. Gervinusa (swego profesora w Królewcu) o niemieckich hegemonach“. Berlińska policya natychmiast Klaczkę wyprosiła i od 1849 r. nasz autor zamieszkał na stałe w Paryżu. W 1853 r. pisze studyum porównawczo-krytyczne, odbite w Lesznie (Ks. Poznańskie), w miejscowem pisemku miesięcznem „Pokłosie“, traktujące równolegle dwie ballady: „Lenorę“ Bürgera i „Ucieczkę“ Mickiewicza.

Ten występ literacko-krytyczny można nazwać pierwszym debiutem Klaczki; każdemu jednak krytykowi współczesnemu, bez wyjątku, można wskazać: ot, tak się pisze krytyki. Niesłychana werwa pióra, jasność i przejrzystość myśli, umiejętne grupowanie faktów, szczegółów, potęgo-

wanie wrażenia i panowanie nad przedmiotem, to jeszcze połowa dodatnich stron: drugą stanowi ta wielka, potężna idea, wiara w najcudowniejsze i najszlachetniejsze ideały ludzkości i chrześciańskie i katolickie, wespół z wrażliwością poetycką. „Ucieczka“ Mickiewicza ukazała się w 50 lat po „Lenorze“ Bürgera, temat był ten sam — i Bürger i Mickiewicz wzięli temat z podań ludowych: Bürger z angielskich, Mickiewicz z litewskich. Mickiewicz nawet strofę jedną wprost zapożyczył u ludu: „Miesiąc świeci, Martwiec leci, Sukieneczka szach, szach, szach... Panieneczko, czy nie strach? „Lenora“ ma sławę wszechcuropejską, przeczytawszy zaś studyum Klaczki — Niemiec czy Duńczyk, Anglik czy Francuz musi uznać: o ileż piękniejszą, jako ballada, artystyczniej obrobioną, jako dzieło sztuki, więcej zrównoważoną i podnioślejszą filozoficznie jest „Ucieczka“ Mickiewicza!

Najbliższymi przyjaciółmi Klaczki byli w owym czasie w Paryżu: Wodzicki, później ks. Waleryan Kalinka. Na emigracyi, wespół z Witwickim, Zaleskim, Mickiewiczem, Gałęzowskim, etc., Klaczko był osobistością wybitną, z którą się liczono wielce. Broszura polemiczna: „O szkole narodowej polskiej na Batignolles pod Paryżem“, odpowiedź p. Juliuszowi Jedlińskiemu, była jednem z tych druzgoczących cięć polemicznych, których przeciwnikom nie szczędził Klaczko, ale zawsze w imię dobra publicznego. Ów p. Jedliński był echem Władysława Zamojskiego—antagonisty we wpływach na emigracyę ks. Adama Czartoryskiego. W tej pracy polemicznej—twierdzi p. Hoesick—Klaczko jest już sobą: staje przed nami jako pisarz w całej pełni, w całej świetności i blasku.

Następną ofiarą mimowolną Klaczki był Korzeniowski i jego: „Krewni“, „Tadeusz Bezimienny“.

Mówimy mimowolną: jeżeli na bal świetny, gdzie apartament przepychem walczy o lepsze z oświetleniem i ubraniem sali godowej, gdzie wykwint towarzyski strojami i zachowaniem się idzie o lepsze z finezyą muzyki lub tańca—jeżeli na bal ten wprowadzimy biedaka, głupiego, wynędzniałego, brudnego, który nigdy nie zakosztował, nawet przez okna nie widział rzeczy lepszych, dla którego szczytem szczęścia będzie duża ilość kieliszków śmierdzącej gorzałki, zagryzanej obwarzankami, w ponurej, dusznej, pełnej błota, szabasówką oświetlonej izbie karczemnej—i jeżeli takiemu biedakowi wskażemy, w drobnych szczegółach, namacalnie damy poznać: to jest dobre, piękne, etc.—czy jego to wina będzie, gdy z krańcową rozpaczą rzeknie: i cóżem ja winien, że tego nie mam. Tak i Korzeniowski na łożu śmierci, pisząc swój testament, wyraził się: wszystkim, którzy mi za życia jakąkolwiek wyrządzili krzywdę, przebaczam z całego serca, nawet Klaczce!...“ Chwilami, krytykę „Krewnych“, pomieszczoną w „Wiadomościach Polskich“, pod redakcyi Klaczki i Kalinki (1856 r.), nazywa p. Hoesick wprost znęcaniem się, tem niemniej krytykę tę należy umieścić pomiędzy najświetniejszemi dziełami prozy polskiej, dodajmy: ideowo i stylistycznie.

„Krewnych“, „Tadeusza Bezimiennego“ znamy wszyscy; obrońcy Korzeniowskiego twierdzili: malował społeczeństwo swoje takiem, jakiem je widział; nie dziwcie się tym ludziom w powieści: tym ludziom o moralności kodeksu kar policyjno-poprawczych, co z Modlitwy Pańskiej jedną tylko znają prośbę i cenić umieją: prośbę o chleb powszedni—tym ludziom, którzy wstępowali na aplikacye, którym tylko obywatelstwo (przy ówczesnej pańszczyźnie) lub ostatecznie „urzędzik“, bogaty ożenek, przyświecały, tym sta-

wiać wysokie etyczne wymagania — jest życiową nieprawdą. — I cóż oni temu winni? Klaczko jednak napadał na Korzeniowskiego i z innego punktu widzenia: „Ignacy Zabuski, szlachcic i stolarz to nie Mirabeau comte et marchand de draps, dopominający się praw trzeciego stanu; to sobie bardzo rozsądny i porządny młodzieniec, szukający socyalnej pozycyi — onby dotrwał w komisyi skarbu, gdyby się tam spodziewał awansu... fatalnym darem Korzeniowskiego, że w jego ręku midasowem wszystko przemienia się w złoto brzęczącej monety, że wszelki kwiat uczuć uschnąć musi w tej atmosferze rachmistrzowskiej". „Praktycznym wymaganiom rzeczywistości, staraniom około indywidualności dobrobytu, ekonomicznym potrzebom i prawom, wszelkim usiłowaniom w tym kierunku—przyklasnąć należy, mówi Klaczko — ale nie dozwalajmy im wyłącznego opanowania naszych horyzontów, nie dopuszczajmy ich opoteozowania w dziełach uczucia i wyobraźni". Na takiemże stanowisku względem Korzeniowskiego stanął i Lucyan Siemieński—zaznacza p. Hoesick.

W 1857 r. pisze Klaczko rozprawę (ciągle w Wiadomościach polskich) o sztuce polskiej.—Tu następuje bardzo ciekawy dziejowo i literacko wypadek; po długich i świetnych rozumowaniach, popartych argumentami, zda się nie do obalenia, ten geniusz, jeden z najświetniejszych umysłów ludzkości, puszcza się na prorokowanie: przepowiada że sztuki polskiej niema i nie będzie. Ponieważ rzeczywistość zadała kłam tym przepowiedniom, pomnijmy: albo nie prorokować nigdy i wcale — albo w danym razie powoływać się na przykład kolegi Klaczki: podawszy tę radę wszystkim obecnym dziennikarzom i politykom, posłuchajmy co ten „kolega" Klaczko wypisuje; swoją drogą ciekawe to:

„Rzecz nie do uwierzenia: w kraju, w którym ani jeden naukowy organ poważny wykształcić się nie potrafił, mamy aż dwie muzykalne gazety; — żadne ut piersiowe nie wyleci z jakiegobądź gardła, by o tem nie donosiły wszem i wobec nasze czasopisma.—Monitor Pekiński nie zapisuje z taką sumiennością stąpań syna słońca—z jaką się pisze o gwiazdach i gwiazdeczkach“. Albo dalej: „w historycznych powieściach zaleta długich wąsów okupuje wszystkie niedostatki krótkiego rozumu, krzywość szabli prostuje czyny wątpliwe, a kontusz dostatecznem jest pokryciem moralnej i estetycznej nagości bohaterów:... nie ze stanowiska państwa, ale z malarskiej stalugi spoglądamy obecnie na polskę przeszłych wieków“... To pisze Klaczko, godzi się z nim Chmielowski, (pracami) — no i paru innych.

Nie możemy krok w krok śledzić za dziełami Klaczki, podanemi przez p. Hoesicka. Tem bogactwem złotych myśli, brylantów uczucia, porównań i określeń, tem wysokiem napięciem obywatelskiem, społecznem, chrześciańskiem a nawet ściśle katolickiem, szafował Klaczko to w artykułach polemicznych o dobie i dziełach sobie współczesnych, to w pracy dłuższej: Uwagi o dziejach panowania Augusta II przez K. Jarochowskiego, to w studyum krytycznem o wierszu Lenartowicza „Gladjatorowie“. — Pisząc o ideałach szlacheckich XVIII wieku, Klaczko robi uwagę: kto był ideałem „pana“ w oczach naszej szlachty XVIII wieku? Wielki kanclerz litewski, Andrzej Zamojski? Nie, zaprawdę! Ideałem, bóstwem jej był i jest jeszcze dotąd w naszej beletrystyce ten „książe panie-kochanku“, „półzwierz“, „pół-człowiek“ a w każdym razie „pół-główek“, prawdziwy Falstaff naszej narodowej tragedyi, bez myśli, bez woli, bez zasad, któryby w każdem innem zdrowem

społeczeństwie był wyrzucony z towarzystwa ludzi rozsądnych i bardzo wcześnie znalazł się „in fundo“... Właśnie ta figura takiego nabrała znaczenia w literaturze, tej właśnie postaci restauratorem i ilustratorem był Rzewuski. W 1859 r. pisze Klaczko w „Wiadomościach Polskich“ artykuł: Odstępcy.—Mowa tu o A. E. Odyńcu, którego Klaczko nienawidził i potyrał. — „Ś. p. Adam (Mickiewicz) — pisze nasz autor — wspominając młode swoje lata, w poufnej rozmowie o czasach i ludziach wileńskich, powtarzał nieraz, że w gronie otaczających go miał dwóch, „w których piersi nie mógł nigdy dostukać się najmniejszego poczucia narodowego“. Jednym był Odyniec.

Drugim odstępcą był Chodźko, autor „Obrazów litewskich“, — z trzecim rozprawił się Klaczko strasznie: tym był Ludwik Mierosławski. Wygłosiwszy i wydrukowawszy następnie mowę p. t. „Do młodego pokolenia“, w której jedną z przewodnich myśli jest głoszenie upadku Zachodu, podał Mierosławski broń w rękę Klaczce „pisze (Mierosławski) o sędziwym obowiązku, o zmartwychwstańczej wsteczności, o genezyjnym mieczu, wydobytym z pochwy chaosu... Syczą rodomontady Papkina, lwa północy... Schlebia młodzieży, nazywając ją rodem Tytanów—przestrzegając przed Francyą, w której jakoby policyjna tylko latarka przeraźliwie migoce“... Jak Klaczko obala te rodomontady, przeczytajcie sami. — Stawiając program społeczny według ewangielicznej zasady: „kto złożonego w swe ręce kapitału nie powiększył, a choćby go ukrył i nienaruszonym przechował, temu on będzie odjęty i oddany tym, co już obfitują“—Klaczko rozwija ten program,—mówi p. Hoesick—według zasad pozytywistów z „Przeglądu Tygodniowego.— Myli się jednak p. H., twierdząc, że „Przegląd“ nasz nie poparłby tych twierdzeń przesłanką taką, jak Klaczko,

zawsze, i my z Klaczką rzeknijmy:... „i gdy modlitwa zabiera człowieka przed tron Ojca, przecież i wtenczas skruszona dusza chrześcianina wprzódy da robur błaga, za nim powie per auxilium!“ — Przegląd tylko nie wdzierał się w nieswoje sfery. — Cudowne są artykuły Klaczki z powodu śmierci Zygmunta Krasińskiego (do spółki z Kalinką), cudowne jest studyum o śpiewach historycznych Niemcewicza. — Nawet w najdrobniejszych wyjątkach przytaczać nic z tego nie możemy, zarówno jak studyum Klaczki o korespondencyi Mickiewicza (1861 r.)— Po przejrzeniu tego studyum jeszcze lepiej się rozumie jak wielkim był Mickiewicz: tak umiał pisać Klaczko. — Ostatniem pismem polskiem były „Notatki z Podróży“ (1871 r.)—„Opis Paryża oblężonego i Komuny“, po wspomnieniu zaś pośmiertnem o Eustachym Januszkiewiczu — Klaczko po polsku już nie pisywał. — Napisał studyum dyplomatyczne po francusku: „Deux chanceliers“ — dwaj kanclerze, ks. Gorczakow i Bismark, za które gadzinowa prasa pruska wyzywała Klaczkę z wściekłą pianą u pyska, najostatniejszemi obelgami — następnie również po francusku „Causeries Florentines“ i „Jules II“. Krótkiemi wiadomościami o tych dziełach kończy pan Hoesick swoje pisma polskie. — Klaczko w Europie całej błyszczeć będzie długie czasy, jako autor dzieł francuskich, dla nas, Klaczko błyszczeć będzie i specyalnie jako autor tych studyów, krytyk, polemik, któreśmy pobieżnie przejrzeli: długo jeszcze perłami temi zasilać będziemy mogli naszą umysłowość: jeżeli indywidualność tak szlachetna w rozumieniu wysokiej etyki i chrześciańskiej i obywatelskiej, tak rozumna, jak Klaczko — posiada jeszcze ten dar pisarski, tworzy się zespół wspaniały, zrównoważony ideowo; z takiej krynicy śmiało czerpmy!

Bronisław W—cki.

Piśmiennictwo niemieckie.

Adolf Wilbrandt: „Franz“. — John Henry Mackay: „Pływak“.—Otto Eryk Hartleben: „Serenyi“.

Adolf Wilbrandt zalicza się do najwytworniejszych może obecnych pisarzy niemieckich. Za dzieła swe otrzymał już kilkakrotnie zaszczytne nagrody z berlińskiej fundacyi dla literatów imienia Schillera i wiedeńskiej Grillparzera, w których co kilka lat odznacza się najlepsze prace autorów współczesnych.

Karyerę literacką rozpoczął Wilbrandt dziełem o poecie Henryku Kleiscie—po niem nastąpiły liczne dramaty, jakoto: „Arya i Messalina“, „Grahus“, „Krymhilda“, „Hr. Hamerstein“, „Córka Fabrycyusza“ i „Mistrz z Palmiry“— będący najlepszym z nich. Próbował nadto sił swoich i w poezyi, czego dowodem „Nowe poezye“ i „Beethoven“. Ostatniemi jednak czasy poświęca się szczególnie powieści owianej duchem czasu. Do rzędu takich utworów należą: „Herman Ifinger“, „Wyspa wymarzona“, „Ojciec Robinson“, „Rotenburczycy“, i wiele innych. Jedną z ostatnich jego prac jest „Franz“.

Tak jak „Herman Ifinger“ i bohater „Wymarzonej wyspy“, tak też i „Franz“, główna osoba tego romansu, jest człowiekiem głębokich myśli, wielkiego serca i duszy szczytnej—marzycielem i filozofem zarazem. Długie lata przygotowuje się poważnemi studyami, zwiedzaniem oraz

badaniem odległych krain do spełnienia swej misyi, polegającej dlań w ożywianiu lub raczej rozbudzaniu religijnych uczuć w swych ziomkach — uczuć, będących jednak w związku z życiem obecnem i przenikających wszystkie czynności obecnych ludzi. Żyć należy zaś zgodnie z wolą najwyższą i najdoskonalszą, rządzącą światem i losem każdej poszczególnej jednostki—nie znaczy to jednak, by nie dbać o świat otaczający i jego sprawy, lecz by rozwinąć wszystkie swe siły, by umieć zwyciężać i używać, działać i tworzyć, by wywyższać wszystko nizkie, będące w nas i koło nas i starać się usilnie, by dobroć i miłość przebijała się w słowach i jaśniała w czynach naszych. Drogę do tej najwyższej istoty wskazują nam dzieła pędzla, dłuta i pióra wielkich mistrzów, wiodą nas badania i przybliża wiedza.

Zarzucićby tu może dało się autorowi, że niepotrzebnie używał niektórych na efekt nieco obliczonych scen, jakiemi są np.: zdemaskowanie teozofki Natalii Petroff, usiłowane samobójstwo żony Franza i parę innych. Ale są to drobne zaledwie usterki, znikające wobec dodatnich stron dzieła. Wilbrandt umie trafnie spostrzegać i patrzeć w głąb dusz ludzkich — pojmuje wymagania danej chwili i rozumie prądy tej ery, w której żyje—a przy tem wszystkiem jest idealistą. W piękną formę ubiera zazwyczaj swe głębokie myśli i wypowiada je tak wyborowym, spokojnym i czystym językiem, jak rzadko który z obecnych pisarzy.

Podczas gdy „Franz“ Wilbrandta jest osobistością cichą, skupioną w sobie, nie dbającą o uznanie świata, to przeciwnie, „Pływak“ Mackay'a—jest ambitny, żądny pochwał i oklasków tłumów.

Ostatniemi czasy spadła na rynek księgarski cała lawina tak zwanych sportowych powieści, gdzie od roweru do automobilu, od łyżew do ski, od rumaka do balonu, od rakiety tenisowej do centnarów atlety, od fuzyi do wędki, laski turysty i wiosła żeglarza — wszystko stanowi oś, około której obraca się cała akcya, gdzie treść zaczerpnięta jest ze sportowego świata a losy ludzi pozostają w ścisłym związku z wypadkami tegoż. „Pływak“ jednak nie należy do rzędu tych, tak modnych obecnie, romansów. Autor chciał tutaj właściwie dowieść, do czego prowadzi przesadna, mylnie skierowana ambicya i jak tragiczną jest w gruncie rzeczy gorączkowa gonitwa za sławą. Fulder, z zawodu mechanik, który od młodości zżył się niejako z wodą, jest zręcznym pływakiem. Zręczność tę uprawia początkowo dla osobistej przyjemności, później jednak pływa dla chwały klubu, do którego należy a w końcu dla zaspokojenia ambicyi „pierwszego mistrza“ w tym kunszcie. Świadomość jednak, że jego umiejętność jest tylko częścią wielkiej sztuki, chęć uzyskania mistrzowstwa i w skakaniu do wody, w czem mu się jednak nie wiedzie, wyniszczająca miłość, próżnia tworząca się z czasem koło niego i obawa utraty sławy pierwszego pływaka — to są pobudki skłaniające go do przedwczesnej śmierci, którą znalazł w tak przez siebie ukochanym żywiole.

Powieść ta jest pisaną bardzo obiektywnie, chłodno prawie—ale w tym chłodzie czuć gorącą, ruchliwą duszę poety — poety, nie posługującego się żadnemi sztucznemi sposobami i który mimo tego stworzył tak piękne dzieło.

„Serenyi“ Hartlebena — to opowiadanie z życia oficerów. Śpiewaczka operetkowa, wesoła, ale zacna dziewczy-

na, zwana też dlatego „wyjątkiem“, jest zaręczona z oficerem. Ten jednak podejrzewa ją o stosunek z kolegą, który z zemsty, że Serenyi uszła jego niecnych sideł, nie chce ni jednem słowem usunąć potępiających ją pozorów. Obrażona w swej czci niewieściej i boleśnie dotknięta niewiarą narzeczonego—zabija się.

Zdarzenie to rozwinął autor przed nami w pamiętniku. Proces psychiczny, odgrywający się w duszy bohaterki, jest starannie przeprowadzony i dobrze umotywowany, natomiast charakterystyka narzeczonego i odepchniętego adoratora, pozostawia niejedno do życzenia.

Berta M.